ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

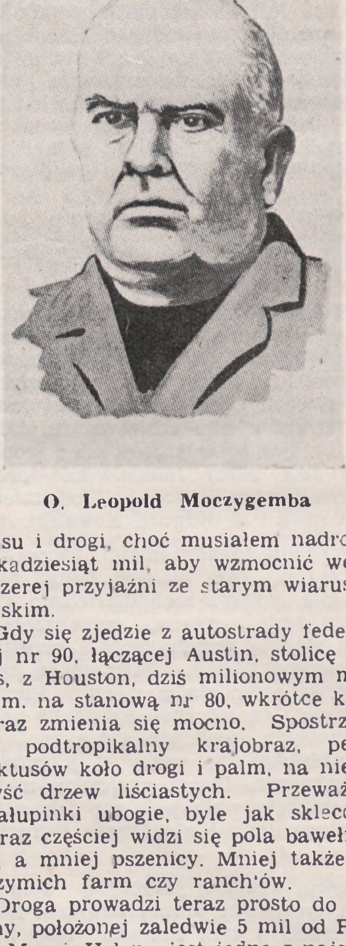
ROK VIII. Nr 43/383
LONDYN, 24 PAŹDZIERNIKA 1954 R.

KS. FRANCISZEK GABRYL

STULECIE OSADY PANNA MARIA

Jak tu wywołać z pamięci wspomnienia z uroczystości stulecia „Panny Maryi" po blisko połowie roku bez notatek? Miałem szczęście uczestniczyć w rzadkiej, historycznej uroczystości tego obchodu, a do ostatniej prawie chwili nie byłem pewny, czy zdołam znaleźć zastępcę na kilka dni, zwłaszcza na niedzielę do pracy kapelańskiej w wielkim szpitalu. Obchód interesował mnie jednak ogromnie. Już około 30 lat temu wyczytałem w prasie krótką notatkę o Pannie Maryi w Texas, o bohaterskiej gromadzie Polaków ze Śląska, która pierwsza założyła osadę w prawie egzotycznej części Stanów Zjednoczonych, pod wodzą dzielnego misjonarza franciszkańskiego, o. Leopolda Moczygemby. Bawiąc w Texas, opuścić taką okazję, byłoby błędem niewybaczalnym. Po wielu wysiłkach udało mi się w ostatniej chwili uzyskać zastępcę w osobie węgierskiego cystersa i wyjechać z Fort Worth, mając do pokonania 360 mil.

Po drodze odwiedziłem ks. infułata A. Gorka, z którym łączą mnie węzły przyjaźni. Ciekawa to postać. Kapłan diecezji żytomierskiej spod zaboru rosyjskiego; rodem ze Śląska, administrator tej części diecezji, która po wojnie pozostała przy bolszewikach, nie chciał jej opuścić. Wywieziony później na Syberię, rąbał tam drzewo przez 8 miesięcy, a skutki odmrożeń wyleczył dopiero niedawno na gorącej ziemi texaskiej. Z Rosji wrócił w 1927 roku z grupą 30 księży i 2 biskupów, wymienionych za działaczy komunistycznych pomiędzy rządem polskim i bolszewickim. Zaraz potem udał się do Stanów Zjednoczonych, później pracował w Kanadzie przez kilka lat, przemierzając ją prawie od oceanu do oceanu w gorliwej pracy misjonarskiej, wyszukując zagubione dusze polskie i ukraińskie, a czasem dając misje dla Niemców, bo język niemiecki znał doskonale, studiując w gimnazjum niemieckim i na niemieckich uniwersytetach, kończąc studiami prawa kanonicznego w Rzymie pod koniec życia papieża Leona XIII i za św. Piusa X, złoty jubilat od lutego 1953. Toteż nie żałowałem



O. Leopold Moczygemba

czasu i drogi, choć musiałem nadrobić kilkadziesiąt mil, aby wzmocnić węzły szczerej przyjaźni ze starym wiarusem polskim.

Gdy się zjedzie z autostrady federalnej nr 90, łączącej Austin, stolicę Texas, z Houston, dziś milionowym miastem, na stanową nr 80, wkrótce krajobraz zmienia się mocno. Spostrzega się podtropikalny krajobraz, pełno kaktusów koło drogi i palm, na niekorzyść drzew liściastych. Przeważają chałupinki ubogie, byle jak sklecone. Coraz częściej widzi się pola bawełniane, a mniej pszenicy. Mniej także olbrzymich farm czy ranch'ów.

Droga prowadzi teraz prosto do Heleny, położonej zaledwie 5 mil od Panny Maryi. Helena jest jedną z najstarszych miejscowości i pierwszą siedzibą powiatową. Wypada tutaj wspomnieć, że cały powiat obchodził swój „Centennial" czyli setną rocznicę istnienia, a zakończenie uroczystości przypadło w udziale Pannie Maryi dnia 9 maja b.r., w samą niedzielę, jako polskiemu ośrodkowi, istniejącemu bez mała sto lat. Pierwszą Mszę pod sławnym dębem, stojącym po dziś dzień koło kościoła odprawił o. L. Moczygemba w wigilię Bożego Narodzenia 1854 roku.

Dlatego też Pannie Maryi przypadł w udziale zaszczyt zakończenia obchodu stulecia powiatu uroczystością religijną z udziałem dość licznego duchowieństwa z arcybiskupem R. E. Lucy m i władz świeckich oraz przedstawicieli Polonii z Chicago i Orchard Lake.

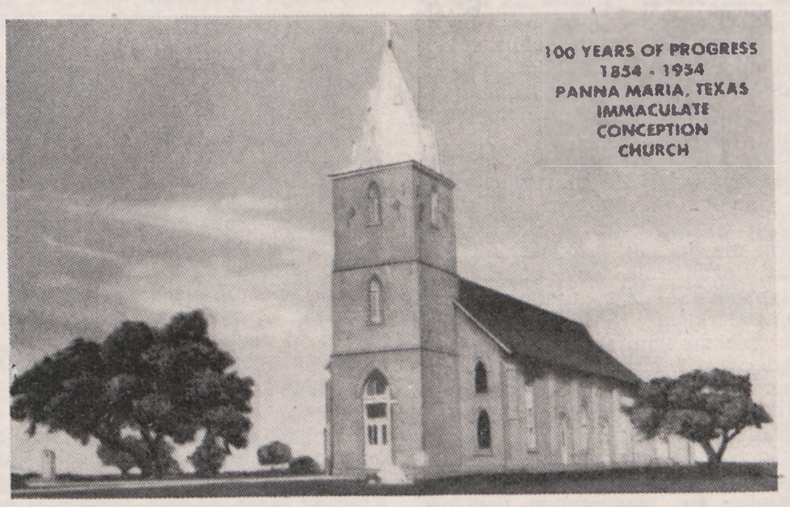
Już miało się ku zachodowi, gdy znalazłem się w Pannie Maryi obok sklepu p. F. Snogi, w tym samym budynku, który należał niegdyś do p. J. Twohiga, wybudowanym dla potrzeb gospodarczych w 1855 jako stodoła. Tutaj też mieściła się poczta i do dziś znajduje się mały urząd pocztowy, a więc dom historyczny. Prędko zaznajamiam się z miłym p. Snogą i wielu ciekawymi, którzy momentalnie gromadzą się koło nas i biorą żywy udział w rozmowie. A więc p. Urbańczyk, komitetowy (p. Snoga jest przewodniczącym — chairman), p. Manka, Dragon, brat ks. Dragona i p. J. Kirysh, u którego mam spędzić noc. Rozmawiamy po polsku, lecz gdy dochodzą młodsi, wnet rozmowa przechodzi na angielski. Są wśród nich uczestnicy wojny koreańskiej, są weterani drugiej wojny światowej, niektórzy stacjonowani później w Niemczech w szeregach armii okupacyjnej. Stąd język mamy wspólny; wszak spędziłem w Niemczech około 9 lat, z tego 3 lata w Dachau i prze zło 5 lat pracy w obozach DP, a głównie jako kapelan Granatowych w enklawie bremeńskiej, należącej do strefy amerykańskiej, najdłużej w strefie brytyjskiej, a ostatecznie przy głównej kwaterze Granatowych jako dziekan kapelanów, skąd 3 stycznia 1951 zdołałem opuścić Niemcy, udając się do Stanów Zjednoczonych.

P. Snoga żartuje sobie mówiąc: „Proszę księdza, moi przodkowie nazywali się chyba Nogi, a później dla lepszego brzmienia dodali S i tak widocznie powstało moje obecne nazwisko Snoga, ale może lepiej było zostać przy nodze, bo to ma jakieś wyraźniejsze znaczenie". Tutejsi mówią jezykiem prawie zupełnie poprawnym i to jest zadziwiające, bo ukończyli tylko polską szkółkę miejscową, co należy zapisać na konto sióstr felicjanek, które dotąd wiernie służą tej parafii, choć utyskują, że w kościele nie mają kazań polskich, bo ks. Murski jakoś dziwnie stroni od polskiej mowy. Ale będzie lepiej, bo z dniem 20 lipca objął parafię ks. I. Kopczyński, zamiłowany w języku polskim, urodzony Teksańczyk, osierocony w dzieciństwie, a jednak mówiący ładnym językiem polskim; zna on literaturę polską, zna wiele polskich pieśni kościelnych i świeckich, stąd dla Panny Maryi zaświeciła nadzieja lepszej przyszłości, właśnie dzięki temu obchodowi Stulecia w Maryjnym Roku. Matka Boska czuwa nad swym wiernym ludem polskim, twardych Ślązaków, wiernych Bogu i Kościołowi.

Kwatera moja jest u p. Józefa Kirysh'a, kilkaset jardów oddalona od domu a raczej sklepu p. Snogi. Ponieważ ma być odprawione nabożeństwo wieczorne, p. Snoga mówi: „Muszę zamknąć sklep, bo nie chcę handlować w czasie nabożeństwa". Trwają gorączkowe przygotowania do jutrzejszej uroczystości. W kościele lud się modli, wielu przystępuje do spowiedzi, aby należycie przygotować się duchowo. A na dworze, koło kościoła siostry felicjanki krzątają się koło dekoracji polowego ołtarza, wielu innych przygotowuje ogniska dla kuchni koło wielkiej hali, bo spodziewają się wielu gości nawet z dalekich stron i trzeba ich dobrze obsłużyć, aby nie byli głodni. Stąd przygotowania z wielkimi zapasami mięsiwa i różnych napojów chłodzących. Ponieważ wielu musi wstać rano a raczej już po północy, ich troską jest teraz, kto odprawi dla nich Mszę św. przynajmniej o godzinie 3 rano, aby mogli uczestniczyć w ofierze Mszy św. i przyjąć Komunię św. Znalazł się jeden z księży, pochodzący z tej samej parafii Panny Maryi i ten ma Mszę św. odprawić.

Po wieczornym nabożeństwie udaję się do zakrystii, aby ustalić z ks. Murskim czas mojej Mszy św. Już nie próbuję mówić z nim po polsku, znając z opowiadań jego nastawienie. Po krótkiej rozmowie dowiaduję się, że mam mieć prymarię o godzinie 7 rano. Wobec tego udaję się do domu pp. Kirysh'ów i tutaj ugoszczony z polską serdecznością i gościnnością udaję się na spoczynek już po północy, przeglądając jeszcze gazety przywiezione z Fort Worth.

Wstaję wcześnie rano, aby przyjrzeć się wschodowi słońca w Pannie Maryi, a myśl moja biegnie do Polski. W Krakowie w tym czasie już jest na pewno po wspaniałej procesji z katedry na Skałkę. Maj, miesiąc Maryi, Rok Maryjny; ileż to refleksji, a ja tutaj daleko od swoich ogarniam wszystkich modlitwą, rozmawiając z Dawidem, odmawiając wspaniałe psalmy, chodząc koło domu p. Kirysh'a, jak niegdyś w Polsce po trawnikach rodzinnej miejscowości lub wokoło kościoła w Czernichowie, mojej pierwszej placówce duszpasterskiej. W takiej właśnie porze dnia, z rannym brzaskiem lepiej rozumie się sens hymnu z Prymy brewiarzowej: „Jam lucis orto sidere, Deum precemur supplices, Ut in diurnis actibus, Nos servet a nocentibus." Jakież to wspaniałe! Wezwanie całej przyrody do chwalenia Pana Zastępów.



Pocztówka wydana z okazji stulecia osady Panna Maryja

Jakżeż to wszystko się zmieniło, ileż to zmian w ciągu tych kilkunastu lat? Czy mam jeszcze nadzieję zobaczyć Kraj, matkę, rodzinę, kolegów i popracować jeszcze dla dobra wiernego ludu polskiego? Natłok myśli, a tu trzeba się skupić przy rannym słonku, unoszącym się powoli nad kościołem Niepokalanego Poczęcia właśnie w Pannie Maryi, aby zakończyć brewiarz, bo czeka znów tyle zajęć i wrażeń.

Pośpieszam swoim Fordem pod kościół dość wcześnie, by przygotować się do Mszy św. Już jestem przy ostatniej Ewangelii, a tu nagle napada mnie myśl: „Powiedz kilka słów, choćby ex improviso". Toteż po przeczytaniu zgromadzonym w kościele wiernym Ewangelii w języku polskim (a było obecnych parę setek, większa część kościoła wypełniona ludem), zaczynam to moje przemówienie od wyrażenia im uznania i gratulacyj, a zwłaszcza pozdrowień od J. E. Ks. Arcybiskupa J Gawliny, które otrzymałem przed blisko 2 laty, będąc w kontakcie z Dostojnym Protektorem Uchodźstwa Polskiego i wątpiłem wówczas, czy znajdzie się okazja do przekazania Jego życzeń. Racja szczególna była ta, że Ks. Arcbp Gawlina odwiedził Pannę Maryję na kilka lat przed wojną i dotąd zachowuje szczególny sentyment dla jej wiernego ludu śląskiego, z którego sam pochodzi. Można wyobrazić sobie zaciekawienie wiernych, gdy posłyszeli mowę polską od nieznanego sobie księdza, ich wyciągnięte szyje i podniesione głowy. Pokrótce podałem historię mego przybycia na amerykańską ziemię, mój pobyt tutaj i rację przekazania życzeń Jego Ekscelencji. Przyznać muszę, że byłem zadowolony z tej jakby Bożej inspiracji i wdzięczny Bogu i Niepokalanej, że danym mi było w takiej chwili złożyć Jej hołd w świątyni poświęconej Niepokalanemu Poczęciu i Jej szczególnej opiece nad polskim ludem. Modlitwy po Mszy św. w języku polskim dopełniły reszty. Po dziękczynieniu udałem się do domu p. Kirysh'ów na śniadanie w towarzystwie ks. Stachowicza, który też tutaj się znalazł, i jak się pokazało był słuchaczem mej krótkiej oracji w kościele. Pp. Kirysh'e już mieli pełny dom gości; zjechali krewni z Houston i Amarillo, nawet nie wszyscy katolicy, bo w warunkach amerykańskich dość często są małżeństwa mieszane także i wśród Polonii. Teraz już panuje tylko język amerykański, bo wielu nie zna języka polskiego, tylko od czasu do czasu padnie jakieś powiedzonko w naszej rodzinnej mowie.

Wkrótce trzeba się wybrać na Sumę, pod historycznym dębem. Wszystko przygotowane. Zjeżdża się lud nawet z dalekich stron, kościół otaczają gromady ludu, na różnych punktach widać aparaty do telewizji. Spotykam po drodze ks. dra W. Jasińskiego, reprezentanta Orchard Lake, a mego kolegę kursowego, a nie miałem okazji zobaczyć go od ukończenia studiów, dopiero po 25 latach, gdy już obaj jesteśmy po srebrnym jubileuszu kapłańskim. Nie ma czasu na dłuższą pogawędkę, odkładamy to na popołudnie.

Przed plebanią formuje się procesja. Najbliżej ustawia się orkiestra w paradnych strojach, nieco dalej dzieci w bieli, następnie połączony chór z kilku ośrodków pod dyrekcją młodszego ks. Dworaczyka, wikariusza z Częstochowy, odległej o kilka mil od Panny Maryi, a dalej liczni uczestnicy uroczystości. Celebransem ma być ks. prałat P. J. Geehan, wikariusz generalny diecezji San Antonio, diakonem ks. szambelan P. L. Foegelle, proboszcz z Kościuszko, a rodak z tutejszej parafii, subdiakonem ks. T. Janysek, również rodem z Panny Maryi, kaznodzieją w języku angielskim jest ks. E. J. Dworaczyk, poprzednik ks. Murskiego w Pannie Maryi, a obecnie proboszcz w San Antonio w parafii św. Michała, kazanie zaś w języku polskim ma wygłosić ks. szambelan K. Weissnerowski z Brenham, diec. Austin. Przyjechał również najbliższy sąsiad, proboszcz z Częstochowy, ks. Przyborowski, staruszek liczący już chyba około 80 lat, a włodarzący w Częstochowie od blisko pół wieku. Przyjechali też obaj księża Moczygemby, potomkowie w prostej linii rodu Moczygembów, braci o. L. Moczygemby.

Znajduje się jeszcze kilku innych księży, jest kanclerz ks. dr J. L. Manning, jako mistrz ceremonii, brak tylko ks. Murskiego, tutejszego proboszcza, który wyjechał z Mszą św. do Heleny, podległej mu placówki misyjnej i wcale się nie pokazał aż do samego wieczora. Wywołuje to pewne komentarze, ale nic na to nie poradzi. Zaszło jakieś nieporozumienie już na parę miesięcy przed obchodem przy tworzeniu komitetu, tak że cała organizacja kościelnych uroczystości znajduje się w rękach ks. E. Dworaczyka, który wywiązuje się ze swego zadania znakomicie, pomimo odległości 60 mil od San Antonio. Na kilkanaście minut przed procesją przyjeżdża ks. arcbp R. E. Lucy.

Rozlega się dzwon z wieży kościelnej, dając znak do rozpoczęcia procesji. Plebanię opuszcza kilkunastu księży z ks. arcbpem Lucy'm, orkiestra gra marsza powitalnego, później pieśń religijną i lud z pieśnią „Kto się w opiekę" udaje się pod historyczny dąb na nabożeństwo. Pstrykają liczne aparaty fotograficzne, gorączkowe ruchy koło punktów telewizyjnych, a gdy wszyscy zgromadzili się na miejscu, rozpoczyna się uroczysta Suma, dwa kazania po Ewangelii, jedno angielskie, w którym ks. E. Dworaczyk skreśla krótki rys historyczny wszystkich wysiłków i rozwój parafii aż po ostatni rok. Sam zresztą jest magna pars tych wysiłków przez kilkanaście lat duszpasterzowania w Pannie Maryi do 1949 roku. Następnie ks. szambelan Weissnerowski odczytuje najpierw telegram gratulacyjny od J. E. Ks. Arcybiskupa J. Gawliny w języku polskim i rozpoczyna swe kazanie słowami Starego Testamentu, że ziemia ta święta jest. Przykuwa uwagę słuchaczów w dość obszernym kazaniu, wychwalając pionierską pracę przodków i zwracając uwagę na cierpienia obecne naszego narodu; podkreśla niespożytą siłę naszego narodu w oparciu o religię pod opieką Niepokalanej.

Po skończonej Sumie zabiera głos ks. Arcbp Lucy i w krótkim, ale treściwym przemówieniu, wyraża swoją wielką radość, że mógł wziąć udział w tej uroczystości; trochę z humorem też zaznacza, że wprawdzie nie zna języka polskiego, ale wierzy, iż kazanie ks. Weissnerowskiego musiało być piękne, skoro tak pilnie go słuchano, pochwala wierność ludu i zachęca do wytrwałości, wskazując na straszne prześladowania polskiego i tak bardzo katolickiego ludu w kraju pod okupacją bolszewicką i na zakończenie przyrzeka szczególną opiekę dla tej parafii. Skutki tej obietnicy już widzimy, bo w czasie rekolekcyj kapłańskich w San Antonio dla kleru diecezjalnego ks. arcybiskup wzywa do siebie wspomnianego już wyżej ks. L. Kopczyńskiego, zapytując go, jak jest z jego polskim językiem, czy potrafi przynajmniej co pewien czas powiedzieć kazanie po polsku. Tego tylko było potrzeba, bo trafił właśnie na najodpowiedniejszego, a po przytakującej odpowiedzi mówi mu Arcybiskup: „To ja księdza poślę do Panny Maryi". I tak 20 lipca objął on tę historyczną parafię ku radości własnej i parafian, którzy nie będą już mogli utyskiwać na brak polskiego kazania. W rozmowie ze mną, kiedy go później odwiedziłem na poprzedniej parafii w Cistern, snuł plany przede mną, że co drugą niedzielę będzie mówił kazania polskie.

Po skończonej Mszy św. udają się księża i delegacje na proszony obiad, bierze w nim udział kilkadziesiąt osób. Po drodze zapoznaję się z p. K. Rozmarkiem i p. A. Łagodzińską, delegatami Polonii chicagowskiej, a przy tej samej okazji z prof. A. Colemanem i jego podopiecznym por. Z. Jaźwińskim, który przed rokiem zbiegł na Migu z Polski. Prof. A. Coleman mówi dość dobrze po polsku, jest rektorem Polskiego Kolegium Zw. w Cambridge Springs w Pennsylwanii, a jak się tutaj mówi prezydentem, uczniem tego Kolegium jest por. Jaźwiński. Mają wszyscy przemawiać po południu w wielkiej hali, o czym później.

Są oni już tutaj od kilku dni, biorąc udział w obchodzie Stulecia powiatu Karnes City i kilkakrotnie przemawiali w różnych miastach tego powiatu. W wielkiej paradzie, która miała miejsce w Karnes City, pierwszą nagrodę za najozdobniejszy wóz wzięła właśnie Panna Maryja.

Podczas obiadu zabiera głos powtórnie ks. arcbp Lucy, witając gości z szczególnym wyróżnieniem delegacji najsilniejszego ośrodka polskiego z Chicago. Do obiadu usługują dziewczęta z Panny Maryi, ubrane w stroje krakowskie, co wzbudza wielkie zainteresowanie, a chór uprzyjemnia dobry i smakowity obiad polski z tradycyjną kiełbasą i kapustą wśród obfitego menu. Oklaskom nie ma końca: za pięknie wykonane pieśni polskie i angielskie przez młodociany chór, a nie brakło i religijnych pieśni oraz narodowych.

Po obiedzie następuje dłuższa przerwa, bo około 3 godziny ma się odbyć jakby wielki wiec, a jak się tutaj mówi, maeting. Hala może łatwo pomieścić blisko do tysiąca osób. W hali następuje przedstawienie osób, zwłaszcza mówców. Przy tej okazji p. K. Rozmarek, prezes Kongresu Polonii, otrzymuje dyplom honorowego obywatela Texasu od gubernatora tego stanu, p. Shivers'a z rąk jego przedstawiciela p. Kotcha. Przemawiają: p. Rozmarek imieniem Kongresu, p. Adela Jagodzińska, prezydentka Związku Polek w Ameryce, p. prof. Coleman, b. prof. polskiej literatury na Columbia University, który ustąpił z tej katedry na znak protestu, gdy ten uniwersytet przyjął dotację 10 tys. dolarów od obecnego rządu z Warszawy za prezydentury Eisenhowera na tym uniwersytecie, a katedrę objął zwolennik rządu warszawskiego, prof. Kridl. Nadmienić też wypada, że p. Coleman, to wielki przyjaciel naszego narodu i sprawy polskiej; studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim po pierwszej wojnie światowej i zna Polskę, ostatnio wspólnie z żoną wydał książkę o Zakopanem i Tatrach.

Po nim zabrał głos por. Jaźwiński, a dalej ks. dr W. Jasiński. Trudno tutaj streszczać przemówienia, aby nie wydąć tego artykułu do za wielkich rozmiarów. Przewijała się jednak głównie myśl o cierpieniu obecnym naszego narodu pod okupacją czerwoną i radość, że Panna Maryja jest najlepszą rękojmią wytrwałości i wierności Bogu i ojczyźnie na lepszą przyszłość dla naszego narodu pod opieką Niepokalanej, której cześć przeniesiona tutaj z dalekiej ojczyzny jest symbolem szczególnym na Rok Maryjny i budzi nadzieję lepszego jutra.

Warto jednak przytoczyć tutaj wiersz o Pannie Maryi w języku angielskim na Stulecie, odczytany przez p. Rozmarka, który ułożył p A. J. Łukaszewski, a ogłoszony w „Dzienniku Chicagowskim":

PANNA MARIA CENTENNIAL

A goodly groop of humble peasants,
To God's Mother most devoted,
Crossed the seas from native Poland
To a U. S. State — then noted
For its geographic vastness,
Vast in kindness all embracing.
Here the imigrants undaunted
Set themselves, new future gacing.

Grateful souls, those simple peasants,
Spoke a mighty, eager prayer
To the Lady of Częstochowa,
To them always — the Lady Fair.
So in loving native language —
This historic hamlet founded —
Panna Maria they named it,
And how well to them it sounded.

Led by Father Moczygemba,
At the Giant Oak, whose boughs
Grace the Sod of this historic
Spot, where cattle used to browse —
Some one hundred knelt in prayer,
Knelt at Mass of deep thanksgiving
To Paninka, their Lady Fair.

This Grand Oak, now so historic,
Sturdy monument of ages —
Greets all present of this era,
Greets the humble and the sages,
As they pour their hearts out pleading
In another deep Thanksgiving,
Breathing prayers to the heavens
For the Founders — and those living.

Voices hail Panna Maria
Rich in legend, sacred lore,
Hail to Thee our Sweet Protectres,
Hail to Thee for evermore.

Oczywiście nie jest to cudowny utwór, lecz jako wyraz uczuć trochę w makaroniczny sposób wyraża najgłębsze uczucia religijne wdzięcznego Polusa z Chicago i wielbiciela Bożej Rodzicielki. Ks. dr Jasiński podkreślił pobożność ludu śląskiego, z którego sam pochodzi. Tutaj w Pannie Maryi możemy oglądać prawie namacalnie skutki wierności ludu śląskiego. Sto lat, pięć pokoleń i zachowanie wiary i języka pod przewodnictwem kapłana polskiego mówi za siebie bez słów.

Kończąc więc należy wysnuć pewne wnioski. Mała polska osada daje wielu kapłanów. Obecnie pochodzi stąd żyjących jeszcze pięciu czy sześciu kapłanów, którzy dzielnie przewodzą na swoich parafiach. Powołania więc bardzo liczne i świadczące najlepiej, jaką jest wiara ludu polskiego. Bez polskiego kapłana nie byłoby tego pięknego i pokrzepiającego obchodu stulecia. Można by mieć pewien żal do wielkiego przywódcy i pioniera Panny Maryi, o. L. Moczygemby za brak zmysłu kupieckiego i ekonomicznego, że w tak ubogiej okolicy umieścił swoich rodaków z rodzinnej wioski, a wśród nich czterech własnych braci. Były to zaprawdę ciężkie czasy dla tego ludu, a o. Moczygembie groziło wiele niebezpieczeństw nie tylko od Indian, dzikich cowboy'ów texaskich, od wężów i różnej zwierzyny, ale także od własnych ziomków, gdy posucha, głód, choroby i wiele innych utrapień gnębiły tę gromadę ośmiuset ludzi, przybyłych tu przed stu laty.

Nie można czytać bez wielkiego wzruszenia książeczki napisanej przez ks. E. Dworaczyka pt. „The Centennial History of Panna Maria", napisanej na stulecie obchodu Panny Maryi. Dzięki niej powstały inne osady, jak Częstochowa, Kościuszko i Bandera oraz św. Jadwiga, gdzie dziś żyją tysiące wiernego ludu polskiego i wielu rozsianych po Texas, po wielkich miastach, jak Houston, Corpus Christi, Amarillo, Lubbock i po całych Stanach Zjednoczonych. Ciągnęli więc na tę uroczystość z dalekich stron i przybyło ich bardzo wielu, oczywiście najwięcej z sąsiedztwa. We Mszy św. wzięło udział może ponad trzy tysiące, a w ciągu dnia, aż do późnego wieczora przewinęło się około piętnastu tysięcy i wszystko to odbyło się w największym porządku. Gdy się zważy, że wioska, licząca obecnie 118 rodzin, uboga, jakby na wydmuchowie, na lekkim wzniesieniu, położona na piaskach, mając tylko jedną szeroką drogę po środku, potrafiła tak pięknie to urządzić, to należy się im najwyższe uznanie.

A wieczorem cały Texas i Stany Zjednoczone oglądały na aparatach telewizyjnych przebieg tej uroczystości, świadczącej dobitnie o żywotności narodu polskiego, polskiego emigranta, rzuconego na jałową ziemię i dokonującego godnych podziwu rzeczy. Echa poszły i do uciśnionej ojczyzny na falach eteru.

Po zakończeniu wiecu, mając trochę wolnego czasu, udaję się jeszcze do odnowionej szkoły, prowadzonej przez polskie siostry felicjanki z Chicago. Jest ich kilka, a ponieważ jest to obecnie szkoła publiczna, dlatego jej kierownikiem jest nauczyciel świecki, jak się tutaj mówi pryncypał, czeskiego pochodzenia. Rozumie on potrzeby tutejszej dziatwy i idzie im na rękę. Religii jednak muszą siostry udzielać poza godzinami szkolnymi, wiadomo bowiem, że w szkołach publicznych nie można udzielać lekcji religii. Wpływ

(Dokończenie na str. 4)

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Śmierć kardynała Borgongini Duca. Na atak sercowy zmarł kardynał Francesco Borgongini Duca, który po zawarciu traktatów laterańskich między Stolicą Apostolską a Włochami został mianowany w roku 1929 pierwszym nuncjuszem apostolskim we Włoszech. Na tym stanowisku pozostawał aż do roku 1953, kiedy został powołany przez Piusa XII do Kolegium Kardynalskiego. Przez śmierć kardynała Borgongini Duca Kolegium Kardynalskie zmniejszyło się do 67 członków.

Lourdes w roku 1954. Wzmożony napływ pielgrzymek do Lourdes trwa w Roku Maryjnym w dalszym ciągu. Od Wielkanocy po dzień 2 października przybyło 632 specjalnych pociągów. W tym samym czasie w roku zeszłym przybyło tylko 400 pociągów. W tygodniu od 13 do 20 września przybyło do Lourdes 29, a w następnym tygodniu 26 specjalnych pociągów.

450 rocznica pierwszej Mszy św. W katedrze św. Łucji w Colombo na Ceylonie odbyła się uroczysta ceremonia dla uczczenia 450 rocznicy odprawienia na tej wyspie pierwszej Mszy św. 449 podobnych uroczystości odbędzie się w głównych kościołach całej wyspy. Z inicjatywą uczczenia rocznicy w ten niezwykły sposób wystąpiła prasa katolicka Ceylonu, na sugestię członków Hierarchii kościelnej. Na wyraźne życzenie arcybiskupa Colombo, ks. Tomasza Cooray z oblatów Niepokalanej cała ta krucjata modlitw odprawiona będzie w intencjach Niepokalanego Serca Matki Boskiej.

Papież dla bezdomnych. Ojciec św. Pius XII darował jeden samochód dziełu pomocy bezdomnym, zorganizowanemu przez Mario Tirabassi, który każdej nocy przy pomocy swych współpracowników przeszukuje groty, ogrody, miejsca pod mostami i bramami Rzymu w poszukiwaniu bezdomnych, by ulżyć ich niedoli.

Zmarła matka Świętej. W wieku 88 lat w Corinaldo zmarła Assunta Goretti, matka św. Marii Goretti. Miała ona to niezwykłe w dziejach Kościoła szczęście, że brała udział w uroczystościach beatyfikacji i kanonizacji swej córki w dniach 27 kwietnia 1947 i 24 czerwca 1950. W dwa dni po kanonizacji Pius XII przyjął matkę nowej Świętej na specjalnej audiencji. Od kanonizacji córki Assunta Goretti żyła w miejscowości Corinaldo pod Anconą, gdzie światło dzienne ujrzała przyszła Święta. Żyła w skromnej izdebce oddana modlitwie i przyjmowaniu licznych gości, którzy pragnęli z jej ust posłyszeć o córce. Nieraz odwiedzający namawiali ją, by wyjednała sobie u swej córki uzdrowienie złamanej w roku 1944 nogi; wszak św. Maria dokonała tylu cudów, i to przyspieszyło sprawę kanonizacji. Ciekawą i prostą słyszeli odpowiedź: „Droga Marietta! Dla twej matki potrzeba by cudu, który zacząłby się od głowy a skończył na nogach... W moim wieku całą trzeba by uzdrowić." W ostatnich czasach do jej cierpień dołączyła się prawie zupełna ślepota. Cierpienia osładzała jej nadzieja, że na drugim świecie złączy się ze swą małą Świętą.

W r. 1949 ukazała się we Włoszech książka ks. Luigi Novarese „Mamma Assunta raconta" (Matka Assunta opowiada), która kreśli charakter i życie św. Marii Goretti słowami jej matki. Książka, ogromnie interesująca, ukazała się po angielsku p.t.: „Saint Maria Goretti by Her Mother" (Glasgow, John S. Burns & Sons, 1951, str. X+70).

Kolegium Ukraińców w Rzymie. W ramach pielgrzymek miesięcznych do kościołów Męczenników w Rzymie, w październiku odbyła się pielgrzymka do św. Jozafata w Kolegium Ukraińców. Z tej okazji „Oservatore Romano" omawia powstanie tego kolegium i jego znaczenie. Pierwsi alumni ukraińscy przybyli do Rzymu w roku 1595, kiedy to Klemens VIII ogłosił unię Kościołów Ukraińskiego i Biało-Ruskiego z Kościołem Rzymskim, zawartą w Brześciu. Do r. 1897 Ukraińcy nie mieli w Rzymie własnego kolegium; dzień 18 grudnia tegoż roku jest datą fundacji kolegium z życzliwości Leona XIII. Papieski ten Instytut dał Kościołowi wielkich biskupów i księży, wśród nich wielu męczenników za wiarę w czasach prześladowań Unii przez carów rosyjskich i władców bolszewickich; szli do więzień i na śmierć w tym przekonaniu, które wyraźnie wypowiedział zmarły w więzieniu w roku 1948 biskup przemyski Jozafat Kocyłowski: „W wypadku mego aresztowania i deportacji proszę pokornie powiadomić Ojca świętego, że u jego stóp składam hołd mojej wierności i mojego bezwzględnego oddania aż do ostatniego tchnienia, aż do ostatniego uderzenia mojego serca, zanosząc synowską prośbę o jego ojcowskie błogosławieństwo." Obecna siedziba Kolegium Ukraińców, dar Piusa XI, została poświęcona przez kardynała Sincero 12 maja 1932. Kaplicę malował znany artysta Barberis; przy weściu 2 ikony w stylu ukraińskim XVIII wieku harmonizują z dekoracjami właściwymi krajom karpackim.

KTO Z NASZYCH CZYTELNIKÓW posiada wydaną w Kraju po wojnie w r. 1946 książkę p. t. DUCH PRACY LUDZKIEJ, pióra ks. Stefana Wyszyńskiego, zechce łaskawie podać możliwie odwrotnie swój adres do naszej Redakcji 12, Praed Mews, London, W.2.

NASZE SPRAWY

CO TO JEST POLSKA?

Przebywając wśród obcych, wciąż wystawieni na obcy wpływ, wciąż otoczeni ludźmi, nie rozumiejącymi nas i naszej sprawy i mającymi wobec nas kompleks wyższości, wciąż wreszcie przytłoczeni obcym światem, którego osiągnięcia w wielu dziedzinach mogą nam słusznie imponować, jesteśmy nieraz narażeni na pokusę poddawania się zwątpieniu co do wartości naszej ojczyzny i myślenia o niej w sposób pomniejszający.

Oczywiście, miłość ojczyzny, a sąd, jaki się ma o ojczyźnie, to są dwie rzeczy różne, których nie należy ze sobą mieszać. Gdyby się miało kochać tylko wielką ojczyznę i służyć tylko sprawie wielkiej ojczyzny, cóż miałby robić Estończyk albo Albańczyk? Nie może on mieć żadnych złudzeń co do tego, że ojczyzna jego nie ma w sobie żadnego znamienia wielkości. A jednak ma on obowiązek kochać, pracować dla niej, służyć jej i być jej wiernym — bo to jest jego ojczyzna. Zupełnie tak samo, jak mamy obowiązek czcić i kochać ojca i matkę, choć nie są oni ani królem, czy królową, ani Arystotelesem, ani Napoleonem, ani Adamem Mickiewiczem, ani Curie-Skłodowską, ani świętą Jadwigą. Nasi rodzice mogą być bardzo maluczcy, bardzo prości, mogą być analfabetami, mogą także być pełni wad i win i być jak najdalsi od świętości, ale to są nasi rodzice.

Ale rzecz w tym, że Polska to nie jest ojczyzna z kategorii ojczyzn maluczkich. Polska ma w sobie znamię wielkości i nie wolno o tym zapominać. Polska, to jest wielka rzecz. Tylko że jej wielkość jest innego zupełnie rodzaju, niż potęga i wspaniałość różnych „możnych tego świata". Kochając Polskę, służąc Polsce i walcząc o Polskę nie tylko spełniamy obowiązek czci i miłości wobec własnej ojczyzny, lecz także służymy wielkiej sprawie, o znaczeniu ogólnoludzkim. Wielkość bowiem Polski nie jest natury materialistycznej: Polska to nie tylko kraj i naród, ale to jest w pewnym stopniu także i idea.

Istotą wielkości Polski jest to, że jest ona bojownikiem i filarem Kościoła katolickiego. Przez cały ciąg swoich dziejów Polska związana była ze sprawą Kościoła i przez dzieje jej przewija się jąk nić dążenie do wsparcia Kościoła w jego doczesnych, tu na ziemi, zmaganiach. Ideą Polski jest idea panowania sprawiedliwości i wolności w rozumieniu chrześcijańskim oraz idea zapewnienia zwycięstwa sprawie chrześcijaństwa i katolicyzmu.

Polska pojawiła się po raz pierwszy na widowni dziejowej w momencie, gdy zaczęło się zarysowywać przeciwieństwo między Kościołem a uosobionymi w cesarstwie dążeniami władzy świeckiej do wszechwładnego panowania. Te dążenia władzy świeckiej miały swoje źródło w starożytnych monarchiach orientalnych, takich, jak babilońska czy asyryjska i poprzez monarchie helenistyczne dotarły do Bizancjum, które pulsowało wielu tradycjami orientalnymi i wprowadziło u siebie zasadę podporządkowania Kościoła państwu. Cesarstwo niemieckie zapatrzyło się we wzory bizantyńskie i chciało sobie podporządkować papieży. Zrodziła się z tego walka papiestwa i cesarstwa, która trwała parę stuleci i w której chodziło nie o co innego, jak o wolność Kościoła, a ubocznie także i o wolność Europy, to znaczy wolność ogółu odrębnych europejskich narodów. Polska od samego początku stanęła w tym zmaganiu po stronie Kościoła, będąc główną podporą obozu papieskiego po drugiej stronie Niemiec. Polska przeczuła właściwie niemal instynktownie, że takie zmaganie się zbliża: gdy Mieszko I przyjmował chrzest, starając się o ile możności ominąć pośrednictwo niemieckie i gdy aktem Dagome Iudex oddawał Polskę pod opiekę papieską, zmaganie to jeszcze się nie rozpoczęło. Później, w erze Canossy, gdy Polska w osobie Bolesława Śmiałego oparła się całą siłą o Rzym, gdy pozyskała dla obozu papieskiego Węgry, a chwilowo też i Ruś, była ona stronnikiem papieskim zupełnie świadomie i zapewne przyczyniła się do kapitulacji niemieckiej w sposób wybitny. I jeszcze później, ilekroć Barbarossa wyruszał na wyprawę na Rzym, zaczynał ją od ataku na Polskę celem jej unieszkodliwienia za swoimi plecami. Po długim okresie upadku, Polska została obudowana — za Łokietka — przy pomocy papieskiej i wbrew Niemcom.

W późniejszym średniowieczu katolickie stanowisko Polski zaznaczyło się w zmaganiu z zakonem krzyżackim. Zakon krzyżacki, wbrew błędnym opiniom, nie był siłą ortodoksyjnie katolicką, przeciwnie, był potężną siłą antypapieską. Jego usadowienie się nad Bałtykiem i Wisłą dokonało się pod opiekuńczymi skrzydłami cesarza Fryderyka II, największego ze średniowiecznych wrogów Kościoła. Zmaganie polsko-krzyżackie miało za tło różnicę poglądów na metody akcji misyjnej wśród pogan. Krzyżacy powodowali się niemiecką teorią, że nawrócenie pogan powinno być poprzedzone podbojem. Polska, zgodnie z bullami papieskimi, uważała, że ludzkie prawa pogan winny być szanowane i że należy ich nawracać nie mieczem, lecz słowem. Różnica ta wyraziła się w ustosunkowaniu zarówno do pogańskich Prusaków, jak do Litwy. Nie była to tylko różnica taktyki politycznej; kontrowersja polsko-krzyżacka, na tematy polityki misyjnej i prawa międzynarodowego, rozwinęła się w przeciwieństwo doktryny, po polskiej stronie rozwiniętej twórczością wielu pokoleń i znajdującej swe szczytowe osiągnięcie w sferze intelektualnej w dziełach największego polskiego myśliciela wieków średnich, Pawła Włodkowica.

Polska była później „przedmurzem chrześcijaństwa", siłą, walczącą o obronę Europy przed naporem Islamu. Broniła się przez Turcją nie tylko sama: dwukrotnie zorganizowała przedsięwzięcia o skali ogólnoeuropejskiej, bezsprzecznie zasługujące na nazwę krucjat, jedną celem obrony Konstantynopola, zakończoną w 1444 roku niepowodzeniem, mianowicie klęską warneńską (Konstantynopol padł w 9 lat później), drugą celem obrony Wiednia (1683), zwycięską.

Polska odegrała olbrzymią rolę w erze kontrreformacji. Kardynał Stanisław Hozjusz był jedną z czołowych postaci ruchu kontrreformacyjnego w skali światowej.

Reformacja w poważny sposób Polskę zawichrzyła, gdyż zaczęła się w momencie szczególnie dla Polski trudnym. Polska była w owej chwili w pełnym biegu procesu wchłaniania Litwy i ziem ruskich, mających odmienne od Polski tradycje i w ogromnym odsetku dysydenckich. Litwa i Ruś obce były tradycyjnej, polskiej ortodoksji katolickiej i z natury rzeczy były podatne na przyjęcie reformacyjnych nowinek. Co więcej, był to okres, gdy szeroką falą zaczynało wchodzić w życie polskie zaczynające się polszczyć niemieckie mieszczaństwo, mnóstwem nici związane z ojczyzną Lutra, Niemcami. Wreszcie, reformacja wybuchła wkrótce po śmierci Kazimierza Jagiellończyka, którego długie panowanie było wszechstronną, od góry przeprowadzoną, antyortodoksyjną rewolucją. Jagiellończyk, raczej Litwin niż Polak, złamał potęgę polskiego Episkopatu, zapoczątkował wprowadzenie do Polski wpływów renesansowych, położył podwaliny pod budowę potęgi żydowskiej w Polsce oraz uwikłał Polskę w sprawy czeskie po stronie husytyzmu, będącego wszak przygrywką do reformacji. Polska po Jagiellończyku była w stanie fermentu i chaosu i w chaosie tym została przez reformację prawie że podbita.

A jednak zdołała się z wpływów reformacji otrząsnąć i powrócić do katolickiego pionu. Zdołała odzyskać dla Kościoła także i Litwę, niemiecką ludność Warmii, część Inflant. Usiłowała ratować dla Kościoła też i Szwecję i nie tylko interweniowała politycznie w sprawy szwedzkie, lecz przez długie lata utrzymywała — w Braniewie — uczelnię, w której kształcili się na katolickich księży szwedzcy emigranci. Święto „świętych królestwa szwedzkiego" w polskim mszale (6 września) jest po dziś dzień pamiątką wysiłków polskiej kontrreformacji w kierunku szwedzkim.

Odparcie zalewu protestanckiego przez Polskę, łącznie z jej przyległościami, takimi jak Litwa, jest najbardziej imponującym ze wszystkich zwycięstw kontrreformacji w skali światowej. Nigdzie zalew nie został odparty tak kompletnie, po rozlaniu się tak szerokim.

Największym jednak osiągnięciem polskiej kontrreformacji jest unia brzeska.

Polska odegrała już pewną rolę na polu zjednoczenia Kościołów w erze unii florenckiej, z czym wiązała się nierozdzielnie krucjata warneńska. Unia jednak brzeska, przygotowana doktrynalnie przez Piotra Skargę, a w całości doprowadzona do skutku w Polsce i przez Polaków, jest naszym dziełem wyłącznym. Dzieło to zostało w znacznym stopniu zniszczone przez Rosję w latach 1839 i 1874, a jednak nawet i dzisiaj, to co z tego dzieła pozostało, jest liczebnie większe niż wszystkie inne kościoły unickie w świecie razem wzięte.

Polska została zniszczona przez siły wrogie Kościołowi. Pierwsza katastrofa, jaka się zwaliła na Polskę, to były wojny kozackie i potop szwedzki. Katastrofa ta — ściśle związana z wojną trzydziestoletnią katolików z protestantami w Europie środkowej — była najazdem państw antykatolickich (Szwecji, Brandeburgii, Siedmiogrodu, Moskwy), połączonym z prawosławno-protestancką rewolucją wewnętrzną. Katastrofa ta złamała pozycję Polski; Polska już się po niej nie podźwignęła.

Polska została ostatecznie zniszczona przez protestanckie Prusy w połączeniu z prawosławną Rosją. A po raz drugi powalona została przez Niemcy hitlerowskie w połączeniu z Rosją bolszewicką.

Polska jest dziś od trzech wieków pokonana, zrujnowana i zepchnięta w cień. Ale wszak i Kościół katolicki jest w ciągu tych samych trzech stuleci w odwrocie i jest przytłoczony klęskami.

„Możni tego świata", to dziś państwa antykatolickie, a ostatnio w coraz większym stopniu wręcz antychrześcijańskie.

Czy mamy się tego wstydzić, że nie jesteśmy jednym z nich? Nie! Chociaż pobici, ale nie złamani i nie tracący nadziei, możemy być z tego dumni, że Polska jest tym — czym jest.

POLONUS

Od redakcji: Pogląd Autora felietonu jakoby unia brzeska była wyłącznie dziełem Polaków, jest niesłuszny. Była ona co najmniej w takim samym, jeśli nie w większym, stopniu dziełem Rusinów, a także w pewnym stopniu innych czynników niepolskich. Mnóstwo bezspornych dowodów przynoszą obecne badania prof. Haleckiego

„WIEK TO KTÓRY?"

MIŁOSIERDZIE NA MIARĘ KLĘSK. Maria Czapska. Londyn 1954. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas".

„Historia est magistra vitae", ale niestety ci, którzy ją tworzą najmniej z jej nauk korzystają i stąd zapewne pochodzi fakt jej powtarzania się. W naszej obecnej emigracyjnej rzeczywistości odnajdujemy wiele analogii z dziejami Wielkiej Emigracji, dlatego też wszelkie opracowania jej historii budzą zrozumiałe zainteresowanie. Od nas samych już zależy, jaką z nich korzyść osiągniemy dla siebie i dla sprawy, dla której pozostaliśmy na emigracji.

Maria Czapska daje nam drugie już po „Ludwice Śniadeckiej" opracowanie z dziejów naszej wielkiej poprzedniczki. Aktualność tego tematu jest tym żywsza, że Zakład św. Kazimierza nie tylko należy do historii, ale spełnia nadal przeznaczone przez założycieli zadanie w służbie dwóch wielkich celów: miłosierdzia i ochrony polskości młodego pokolenia.

Mimo woli budzą się w nas refleksje, które z naszych poczynań wytrzyma próbę życia i czasu? Rzeczywistość nie usposabia do zbytniego optymizmu po dziesięciu bez mała latach doświadczenia. Nasuwa się analogia do dwóch istniejących szkół zakonnych, które jedyne z polskiego szkolnictwa pozostają na placu walcząc z trudnościami, obojętnością emigracyjnego ogółu i bez taniego rozgłosu pełniąc najodpowiedzialniejszą z Bożych i narodowych służb, wychowania naszych następców w wierze ojców i miłości ojczyzny. O tym najżywotniejszym celu zapominają niestety ludzie tworzący dzieje nowej emigracji tracąc czas i dobra materialne na niewczesne zamiary, wśród wrzawy potępieńczych swarów. Trudno doprawdy zrozumieć, jak można pozostać ślepym na rzeczywistość, która z każdym rokiem przekreśla rachuby na powrót do Kraju naszego pokolenia. Kto po nas podejmie nasz zdradzony i zlekceważony obowiązek?

Pracę Marii Czapskiej można raczej nazwać szkicem dziejów Zakładu św. Kazimierza, który prosi się o bardziej wyczerpujące i obszerniejsze opracowanie. Autorka pragnąc uczcić 300-letnią rocznicę sprowadzenia do Polski sióstr św. Wincentego, w drugiej części monografię swą uzupełnia przeglądem dziejów tego tak zasłużonego u nas zgromadzenia zakonnego, często zahaczając o jego historię w innych krajach, a zwłaszcza w kraju macierzystym, Francji. Dwie inne części pracy, pierwsza i trzecia, poświęcone są historii Zakładu, przy czym pierwsza omawia obecną sytuację i pracę tej instytucji, a druga jej dzieje na przestrzeni 90 lat istnienia.

Inicjatywa św. Wincentego była w wieku XVII podwójnie rewolucyjna. Opieka nad dziećmi grzechu przekraczała pojęcie miłosierdzia według opinii tamtych czasów, jak również i druga inowacja świętego założyciela zgromadzenia: werbunek dla służby miłosierdziu dziewcząt z ludu. Rewolucyjna inicjatywa przyniosła wspaniały plon i miłosierdzie rozrosło się doprawdy na miarę klęsk po całym świecie. Polska była pierwszym po Francji krajem, dokąd dotarli księża misjonarze i siostry ubogich, szarytki. Któż nie zna ich ofiarnej pracy? Dlatego każdego napawa bólem wieść, która do nas dociera, wieść o likwidacji i prześladowaniach tego zasłużonego zgromadzenia w Polsce i innych krajach za żelazną kurtyną. I tu historia się powtarza, bo przecież przeszło sto lat temu uległa kasacie prowincja zgromadzenia na ziemiach litewsko-ruskich, w wyniku powstania listopadowego. Cztery siostry, niedobitki zlikwidowanej prowincji, dały początek dziełu, które przetrwało tyle burz dziejowych i w czasie drugiej masowej emigracji nadal spełnia wyznaczone sobie zadanie. Imponujący dorobek Zakładu wyraża się cyfrą przeszło 1200 sierot i około 250 starców i staruszek, którzy i które tu znalazły dom rodzinny, w dwóch okresach życia człowiekowi najbardziej potrzebny: w dzieciństwie i starości. Cóż może być bardziej godne miłosierdzia niż skrzywdzone dzieciństwo lub samotna starość?

Wobec skomplikowanego mechanizmu ludzkiego losu zawsze do końca świata będzie miejsce na ewangeliczną caritas. Najlepszym tego przykładem niech będzie kraj naszego osiedlenia, gdzie istnienie tak doskonałej opieki społecznej w postaci Assistance Board nie wyklucza innych form działania, tak wypróbowanych, jak zgromadzenia zakonne, lub nowsze, jak różne stowarzyszenia, których tyle tu spotykamy.

Wyraźnej opiece Boskiej i świętego założyciela chyba tylko zawdzięcza Zakład przetrwanie tylu burz dziejowych, które dotknęły przez ostatnie 90 lat dwa bratnie kraje, Francję i Polskę. Zakład ostał się tylko dzięki ofiarności emigracji, a zwłaszcza najmożniejszych spośród niej oraz pomocy przyjaciół Francuzów, żyjąc dosłownie z dnia na dzień bez jakiegoś stałego zabezpieczenia. Wśród dobroczyńców Zakładu bezspornie pierwsze miejsce należy się paru pokoleniom naszej emigracyjnej dynastii książąt Czartoryskich, od wielkiego Adama, którego wszechstronne i tak bogate dzieło odtworzył gen. Kukiel, aż do jego potomka, również Adama, który ocalił Zakład przed likwidacją z rąk tym razem władz wskrzeszonej Rzeczypospolitej w roku 1932. Osobną pozycję w dziejach tej instytucji stanowi opieka nad weteranami powstania listopadowego, ich córkami i następcami z emigracji zarobkowej. Dotkliwie odczuwa się brak w pracy Marii Czapskiej bliższych danych o dziejach i pracy filii Zakładu, mieszczącej się w Juvisy, dla chłopców, a zlikwidowanej podczas trudności finansowych w roku 1906. Zakład po wymarciu emigracji polistopadowej stał się instytucją służącą emigracji zarobkowej, tak licznej na terenie Francji. Zmienili się pensjonariusze Zakładu czy status ich w rubrykach formularzy, ale praca szła i idzie nadal.

Piękny, potoczysty język, gustowna szata zewnętrzna oraz rysunki Józefa Czapskiego podnoszą wartość tej cennej pozycji w naszej ubogiej emigracyjnej literaturze. Wiele uroku dodają umiejętnie wplecione w tok opowiadania wiersze Cypriana Norwida, najsławniejszego z pensjonariuszy Zakładu, który w nim dokonał swego skołatanego i pracowitego żywota. Z innych znanych historycznych postaci spośród pensjonariuszy Św. Kazimierza można wymienić pułkownika Zaliwskiego, wodza nieudanej wyprawy do Polski, gen. Józefa Wysockiego, jednego z wodzów podczas rewolucji na Węgrzech, Aleksandra Chodźkę, orientalistę i Leonarda Rettla, belwederczyka i profesora Instytutu dla panien w Hotelu Lambert.

Z wierszy Norwida na temat Zakładu często wieje gorycz i ironia pod adresem rozpolitykowanych rodaków, z których na pewno wielu nie wiedziało nic o dobrej realnej pracy sióstr, jak i dla oczu współczesnych nieznane pozostało piękno jego niedocenionej i zapomnianej twórczości.

„Miłosierdzie na miarę klęsk" nadaje się na obowiązkową lekturę dla każdego emigranta. Może ta książeczka, pełna treści choć niepozorna rozmiarami przyczyniłaby się do uporządkowania w głowach hierarchii wartości, które nas obowiązują? Może otworzyłaby nie tylko ludzkie serca, ale i kieszenie, tak trudno się otwierające na potrzeby pracy, jaką Zakład nadal prowadzi, dla ofiarniejszego wsparcia sierot w Niemczech czy inwalidów? „Wiek to który? Który rok? Niedola która?"

B. Klec-Pilewski

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

IMPONUJĄCY NUMER SPECJALNY. Numer specjalny tygodnika „Times Literary Supplement", poświęcony literaturze amerykańskiej, stanowi niewątpliwie swego rodzaju rekord w dziejach czasopism literackich. Numer ten obejmuje sto stron dużego formatu, poza 16 stronami, zawierającymi zwykły bieżący materiał; ta sama treść zajęłaby co najmniej 400 stron książki o formacie sporej ósemki. Znajdujemy w numerze 47 artykułów, a raczej rozprawek, poświęconych różnym rodzajom i aspektom twórczości literackiej w Stanach Zjednoczonych; obszernie omówione jest m. in. piśmiennictwo Murzynów amerykańskich. Osobne artykuły poświęcone są zagadnieniom wydawniczym i drukarskim oraz prasie, radiu i telewizji. Pod koniec dużo miejsca zajął zbiór przedruków recenzyj o wybitnych książkach amerykańskich, które ukazywały się na łamach „Times Literary Supplement" począwszy od roku 1913.

Zwyczajem przyjętym w „Times Literary Supplement", artykuły są anonimowe; jedyny wyjątek zrobiono dla dwóch artykułów, umieszczonych na czele numeru: „The Rising Generation" Edith Sitwell i „How Cruel is April?" W. H. Audena, poety angielskiego, od dawna osiadłego w Stanach Zjednoczonych. Nazwiska autorów podano oczywiście także przy kilkunastu wierszach, rozsianych po całym numerze.

Redakcja podkreśla z dumą, że „Times Literary Supplement" jest jedynym w całym świecie mówiącym po angielsku (English-Speaking World) tygodnikiem krytycznym, omawiającym świeżo wydane książki, zarówno angielskie jak zagraniczne.

17 MILIONÓW NAKŁADU. W Londynie bawił ostatnio Amerykanin, p. DeWitt Wallace z żoną, z którą swego czasu wspólnie założyli znany periodyk „Reader's Digest". Pismo to ma obecnie około 17.500.000 egzemplarzy nakładu. Cyfra ta obejmuje oczywiście także wydania w innych językach, których namnożyło się wiele po ostatniej wojnie. „Reader's Digest" ma dziś 28 wydań w 12 językach. Wydanie londyńskie, zapoczątkowane w r. 1939, rozchodzi się w milionie egzemplarzy.

KONKURS AKADEMII STANISŁAWA. W Nancy przy rue Stanislas mieści się akademia im. króla Stanisława Leszczyńskiego, po francusku krótko: Académie Stanislas. W roku bieżącym akademia rozpisała konkurs, którego temat brzmi następująco:

„Stwierdza się w naszych czasach rosnące zaniepokojenie niebezpieczeństwem, jakie niosą za sobą dla naszej cywilizacji zachodniej, opartej o kulturę grecką, łacińską i chrześcijańską, najnowsze odkrycia naukowe i ewolucja obyczajów, jaką one wywołują, oraz zaniepokojenie niebezpieczeństwem, jakie odkrycia te stanowią dla osoby ludzkiej, która miast rozwijać się i oświecać swobodnie narażona jest na ryzyko stopniowego zredukowania jej do egzystencji termitów lub robota.

„Jeśli Pan tę groźbę i to niebezpieczeństwo uznaje za realne, czy sądzi Pan, że jest rzeczą możliwą zapobiec im, apelując do indywidualnych zasobów osoby ludzkiej, bądź też do sił, znajdujących się na zewnątrz niej, czy wreszcie do jednych i drugich razem? Jakie środki zaradcze proponowałby Pan dla tego celu, i w jaki sposób pojmowałby Pan ich zastosowanie?"

Autor najlepszej pracy otrzyma Wielką Nagrodę (Grand Prix) akademii za rok 1954.

CHOROBY KRWI. Między 6 a 12 września w gmachu Sorbony w Paryżu obradował piąty międzynarodowy kongres hematologów, tj. uczonych, zajmujących się sprawami krwi ludzkiej. Brała w nim udział m. in. delegacja z Polski, w której skład wchodzili: prof. Jerzy Jakubowski, prof. Aleksandrowicz, doc. Włodzimierz Ławkowicz i dr Edward Kowalski.

Głównymi zagadnieniami, które dyskutowano, była aplazja, hemofilia i leukemia. Aplazja zachodzi w tym wypadku, gdy organy, wytwarzające krew, ulegają przyduszeniu i przestają ją produkować. Trzy mogą być przyczyny tego stanu rzeczy. Pierwszą z nich są zatrucia, wywołane przy wykonywaniu pewnych zawodów, w szczególności przy pracy w przemyśle kauczukowym. Drugą przyczyną może być nadużywanie pewnych lekarstw, np. piramidonu i niektórych sulfamidów.

Trzecią wreszcie przyczyną aplazji mogą być pewne promieniowania. Niebezpieczne w tym zakresie były np. promienie Roentgena; ofiarą ich padali, niekiedy po wielu latach, lekarze, sanitariuszki i członkowie obsługi aparatów. Obecnie jednak przeprowadzono taką izolację aparatów, że padające z nich promienie skierowane są tylko na miejsce, podlegające zabiegowi.

W ostatnich czasach przybył nowy czynnik, powodujący aplazję: promieniowanie bomby atomowej. Jak stwierdzili delegaci japońscy, u niektórych mieszkańców Hiroszimy w cztery lata lub nawet w pięć lat po zrzuceniu bomby atomowej na to miasto następował zupełny zanik ciałek krwi. Kongres poświęcił sporo czasu na dyskusję nad metodami leczenia tych strasznych schorzeń.

FRANCISZEK STRZAŁKO

MARIAN SZYSZKO-BOHUSZ

Trudno dziś sobie wyobrazić życie kulturalne na uchodźstwie bez Mariana Szyszko-Bohusza. Bohusz jest równocześnie artystą-malarzem, wychowawcą, pisarzem i... matematykiem. W pracowni jego, w gmachu „Orła Białego" powstają wciąż nowe płótna i rysunki, jedne tworzone w pośpiechu, jakby artysta nic nie chciał uronić z wizji, jakby się bał, by czas nie spowodował zblaknięcia barw, które ukazały się nagle wyobraźni w jakimś nowym, niespodziewanym układzie, inne opracowywane mozolnie w niekończących się zmaganiach twórczych.

W godzinach wieczornych pracownia artysty zapełnia się uczniami, którzy niejednokrotnie przybywają tu wprost z fabryk i innych warsztatów pracy zarobkowej. Po beznadziejnej rutynie biura i hali fabrycznej odnajdują tu oni siebie w pracy wyższego rzędu, która pozwala im stać się t w ó r c a m i w pełnym tego słowa znaczeniu. Ta praca to ich odpoczynek.

Co niedzielę Bohusz oprowadza grono słuchaczy po muzeach i wystawach londyńskich. Wśród grona tego są tacy, co chodzą na jego wykłady już od lat, dzięki czemu pogłębili swą wiedzę o sztuce i mają już własną wobec niej postawę — rzecz niezwykła i rzadka wśród tak zwanej inteligencji polskiej (i nie tylko polskiej).

W czasopismach polskich ukazują się raz po raz recenzje z wystaw malarskich pióra Bohusza, które należą do najlepszych, jakie znam. Jasne, zwięzłe, trafiające w sedno rzeczy, a przy tym pisane z autentycznym temperamentem człowieka, który ma moc do powiedzenia o sprawach, w których zabiera głos. Rzecz znamienna: Bohusz łączy talent malarski z dużymi zdolnościami pisarskimi, które to połączenie nie należy do zjawisk częstych. Te same cechy posiadają wykłady Bohusza, który jest zupełnie nieprzeciętnym mówcą. Pamiętam jego pogadankę o sztuce dziecka, wygłoszoną przed paru laty z okazji wystawy rysunków dzieci polskich, urządzonej przez polską YMCA. Z jakim ogniem opowiadał o swych pierwszych przedwojennych doświadczeniach pedagogicznych na kresach wschodnich! Jakim odkryciem był dla niego świat wspaniałej nieraz twórczości dziecka, w którym tak wielką rolę odgrywają czynniki podświadome. Bohusz potrafi zakląć audytorium tak, że nawet najbardziej obojętni słuchacze chłoną jego słowa z największym zainteresowaniem.

Powojenny dorobek malarski Bohusza ukazany nam został na szeregu wystaw, zorganizowanych z wielkim nakładem starań o dobór dzieł i należyte ich pokazanie. Bohusz dał się nam na nich poznać przede wszystkim jako malarz religijny. Stworzył on szereg cyklów olejnych i rysunkowych oraz pojedyncze kompozycje, wśród których wybija się olejne „Ukrzyżowanie", powstałe przed rokiem 1950 — żywiołowa improwizacja malarska, stworzona w parugodzinnym porywie natchnienia. Pasja twórcza i płomień gorącej wiary splotły się w tej kompozycji w nierozerwalną całość. Do najlepszych dzieł o tematyce pejzażowej, powstałych w ciągu ostatnich pięciu lat, zaliczyć trzeba bezwarunkowo tzw. duży „Las", pokazany ostatnio w polskiej YMCA na Cadogan Gardens, który jest symfonią barw, zdumiewających bogactwem, doborem i mistrzowskim zespoleniem w jedną całość. Wymieniam przykładowo te rzeczy, które najbardziej utkwiły mi w pamięci, ale obok nich jest szereg innych prac, które z powodzeniem mogą walczyć o palmę pierwszeństwa.

Wystawy uczniów Bohusza zastanawiają przede wszystkim pod jednym względem: jak mało jest mistrza w dziełach jego wychowanków. W przeciwieństwie do tylu innych malarzy Bohusz nie tylko nie narzucił nikomu swojej wizji, lecz potrafił dopomóc do wykształcenia własnej, indywidualnej. Niektórzy z jego uczniów zajmują już dzisiaj nie byle jaką pozycję we współczesnej polskiej twórczości plastycznej. To wychowanie najmłodszego pokolenia malarzy polskich jest jedną z największych zasług Bohusza Szyszki.

Ostatnim dokonaniem Bohusza jest teka rysunków, wydana przez Społeczność Akademicką Uniwersytetu Stefana Batorego i Oficynę Stanisława Gliwy. Dzięki tej publikacji zwielokrotniono dorobek artysty w dziale rysunków i umożliwiono szerszemu gronu nabywców posiadanie jego dzieł. Prawda, że są to reprodukcje tylko, ale wykonanie ich jest na takim poziomie, że oryginał jest niemal zupełnie wiernie oddany. Artysta wybrał oczywiście te rzeczy, które najlepiej nadawały się do reprodukcji: rysunki tuszem, gdzie na białym tle występuje plama, kreska lub szeroka linia o jednolitym nasileniu czerni. Przy tym rodzaju nic się właściwie nie zatraca z istotnych wartości malarskich oryginału, jeśli klisze są dobrze wykonane, a ich wytłoczenie na takim poziomie, jak u Stanisława Gliwy.

Rysunki zawarte w tece, to zestawienie czarnych i białych plam w najrozmaitszych układach. W jednych widzimy parę zaledwie szerokich kresek, które w syntetycznym skrócie oddają temat, w innych całą gmatwaninę linii i plam, bądź zapełniających powierzchnię rysunku w równomiernym rytmie, bądź rozmieszczonych w poszczególnych tylko jego partiach, ale zawsze z tą równowagą i umiarem, z jakim tylko ręka prawdziwego artysty potrafi odważać elementy składowe kompozycji.

Przy całej dbałości o stronę formalną, co musi zresztą cechować każdego artystę z prawdziwego wydarzenia, Bohuszowi obca jest czysto formalistyczna postawa znakomitej chyba większości współczesnych malarzy. Jest on w wysokim stopniu ekspresjonistą. Dla wydobycia ekspresji jednak opiera się na elementach formalnych raczej, niż przedstawieniowych. Rzuca się to w oczy zwłaszcza w obrazach olejnych, gdzie artysta operuje przede wszystkim czynnikiem barwy dla osiągnięcia ekspresji, ale i w rysunkach pokazanych w tece ta rola pierwiastka czysto malarskiego w podkreśleniu wyrazu jest aż nadto oczywista. Równolegle do niej występuje ekspresja oparta na rzeczywistości wizualnej, podanej w jak największym uproszczeniu — wyraz twarzy, gest, układ postaci, jak np. w „Modlitwie w Ogrójcu". Bohusz wyszedł ze szkoły realistycznej i choć odszedł dziś od realizmu, to jednak twórczość jego tkwi korzeniami w rzeczywistości wizualnej. Nie zrywa z rzeczywistością radykalnie, jak Kandinsky i jego następcy, nie widzimy u niego czystej abstrakcji, lecz raczej rzeczywistość abstrahizowaną.

Na 16 plansz teka zawiera 9 opartych na tematyce religijnej. Stosunek ten odzwierciedla charakter twórczości Bohusza, którego Stefania Zahorska w swym studium, poprzedzającym materiał ilustracyjny teki, słusznie określa jako malarza religijnego. Bohusz jest jednym z bardzo nielicznych współczesnych polskich malarzy religijnych. Dawne polskie malarstwo religijne, które jako twórczość cechów miejskich rozwija się bujnie do XVI wieku włącznie, po okresie wegetacji w ciągu dwóch następnych zamiera zupełnie w XIX wieku. Jedynie lud polski tworzy w tym okresie swą cudowną i przebogatą sztukę religijną. Tak zwany inteligentny ogół nie ma z tym rodzajem twórczości nic wspólnego. Witraże Wyspiańskiego w kościele franciszkanów w Krakowie, to zjawisko niezwykłe na tle epoki. Po Wyspiańskim nikt właściwie nie przyszedł. Kaplica Bożego Narodzenia, natchnione dzieło sztuki snycerskiej Szczepkowskiego, pokazana na paryskiej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych w 1925 roku, była pierwszą poważniejszą próbą nawiązania do wspaniałych tradycji sztuki ludowej, ale w malarstwie zasadniczo nikt się nie odezwał. Bohusz, uczeń Mehoffera, już przed wojną dał się poznać jako malarz religijny, a po wojnie idzie dalej obraną drogą, choć strona formalna jego twórczości uległa w międzyczasie daleko idącym przeobrażeniom.

Twórczość Bohusza nie wykazuje cech wspólnych z największym ze współczesnych malarzy religijnych — Georges Rouault. Natomiast niejedną ciekawą analogię możnaby przeprowadzić między niektórymi pracami Bohusza a monumentalną rzeźbą Ukrzyżowania Osipa Zadkine'a w Musée de l'Art Moderne w Paryżu. Zasadnicze wyjście z realizmu podporządkowanego całkowicie ekspresji o niezwykłej potędze, niewątpliwe zbieżności w sposobie kształtowania deformacji i wreszcie taki nawet szczegół, jak niemal identyczne potraktowanie rąk Ukrzyżowanego — wszystko to zdaje się łączyć obu artystów. U ludzi tej samej epoki analogie takie są często zupełnie przypadkowe. Malarstwo Bohusza zajmuje zresztą zupełnie autonomiczną pozycję. W odradzającym się dziś życiu religijnym sztuka jego jest bardzo potrzebna. Po zamarciu twórczości ludowej ktoś musi wreszcie zabrać głos. Trzeba również, by ktoś wypełnił pustkę, jaka trwa blisko pół wieku od chwili, gdy do mrocznego wnętrza franciszkanów krakowskich po raz pierwszy przedarły się wielobarwne promienie światła, przepuszczonego przez nieśmiertelne witraże Wyspiańskiego

Franciszek Strzałko

Z poezji staroprowansalskiej

A ŻE MNIE NASZŁA CHĘĆ DO PIENIA...

A że mnie naszła chęć do pienia,
Ułożę pieśń na me strapienia:
Służył nie będę już miłości
W andegaweńskiej włości.

W wielkiej żałobie, w wielkiej trwodze
Dziś na tułaczej staję drodze,
A w wojnach syn mój, młody dziedzic;
Ukrzywdzą go sąsiedzi.

Ciężko ostawiać w niepewności
Dwór w Poitou i wszystkie włości,
Hrabiego d'Angieus zlecam męstwu
Krewniaka oraz księstwo.

Jeśli go d'Angieus nie wsprze mieczem,
Ni król, co lenno zdał mi w pieczę,
Wnet zaczną zdrajcy szarpać mienie,
Gaskonie, Andegawenie.

Jeżeli duch w nim czczy i miękki,
Ledwo mu ojca zbraknie ręki,
Zaraz go zetrą w proch zdradziecko,
Słabe w nim widząc dziecko.

Litości, towarzysze godni,
Któregom skrzywdził — odpuść zbrodnię!
Też prośbę Bogu składam ninie
Po romańsku i po łacinie.

Miłowałem-ci ja rozkosze,
Dziś od nich w światy się wynoszę,
Tam, kędy grzesznik zatwardziały
Spokój znajduje trwały.

Miłowałem-ci śmiech, kompanię,
Dziś w srogie Pan mnie śle wygnanie,
Uginam się pod jarzmem krzyża,
Koniec mój już się zbliża.

Opuszczam, co mi było bliskie,
Rycerstwo, dwór, uciechy wszystkie,
I skoro takie sądy Boże,
Zdaję się nań i korzę.

Was zaś, druhowie, proszę mili,
Byście pochówkiem mnie uczcili,
Bom sprzyjał wszelkiej wspaniałości
Daleko, blisko, w mojej włości...

Dziś żegnam zbytek, śmiech i dolę
I popielice i sobole.

Autor: Guillaume IX, książę Poitiers, hrabia Akwitanii (1071 — 1127), pierwszy ze znanych trubadurów, pierwszy poeta piszący w języku narodowym. Pieśń powstała prawdopodobnie około roku 1117, z okazji pielgrzymki do Compostelli, a nie przed wyprawą krzyżową, jak sądzą niektórzy. Hymn pokutny i testament panującego zarazem.

Ze staro-prowansalskiego
tłum. Zofia Romanowiczowa

BOLESŁAW TABORSKI

NOWY SEZON OLD VICA

M A K B E T

W sezonie teatralnym 1954/55 londyński Old Vic kontynuuje w nowej obsadzie zaczętą w zeszłym roku serię inscenizacji kompletu sztuk Szekspira, zakrojoną na lat pięć.*) Nacisk w tym roku położony jest na komedię i sztuki historyczne, których Old Vic wystawi po trzy. Najpierw wystawiono jednakże jedyną w tym sezonie tragedię, mianowicie **Makbeta**, przeniesionego do Londynu z festiwalu edynburskiego (jak w zeszłym roku **Hamlet**).

Macbeth (1606) jest jedną z rzędu wielkich tragedii, będących owocem najdojrzalszego okresu twórczości Szekspira, w którym powstały m. in. **Hamlet, Otello, Lir, Antoniusz** i **Kleopatra**. Oparta luźno na kronice Holinsheda (i napisana pod wpływem wstąpienia na tron angielski Jakuba Stuarta), jedyna sztuka Szekspira o tematyce szkockiej, dzieli z tamtymi zalety formy i kompozycji, zwłaszcza zwartość struktury i wspaniałą jędrność dramatycznego wiersza. Różni się natomiast **Makbet** od innych tym, że postać tytułowa jest znacznie mniej sympatyczna. Tragedia ma swe źródło w nieokiełznanej ambicji dzielnego generała oraz w łatwowiernym uleganiu żonie i ciemnym podszeptom własnej jaźni czy złego ducha (wszystko jedno jak w tym wypadku interpretujemy czarownice). Każdy inny dramaturg ówczesny ująłby melodramatycznie temat (który prosił się o to) i przedstawiłby czarną na wskroś postać szkockiego bandyty i jego krwawych zbrodni. Szekspir nie poszedł na łatwiznę i ukazał nam dzieje człowieka, którego pierwsza zbrodnia, popełniona na skutek słabości charakteru, uwikłała w łańcuch zbrodni, z którego nie potrafił się uwolnić. Makbet przez cały czas zdaje sobie sprawę ze swojej sytuacji, z tego, że jego dusza, „klejnot wieczysty, jest w mocy wroga wszystkich ludzi", za korzyści znikome i przejściowe. Ale nie ma siły się ich wyrzec i aby utwierdzić swą władzę, pogrąża się coraz bardziej. Szekspir zdołał utrzymać sympatię dramatyczną dla swego bohatera do końca. Im niżej stacza się Makbet w swej zbrodniczości, im bardziej nieuniknioną jest jego klęska, tym patetyczniejsze jest jego odosobnienie i bezsilne miotanie się w sobie samemu zadawanych mękach. Własne zło ściga go nieustannie, jego tortury wewnętrzne oddane są z plastyczną siłą poezji w stopniu rzadkim nawet u tragicznych bohaterów Szekspira. Ale sympatia poety do bohatera w niczym nie podważa obiektywnego sądu. W zwykłej u Szekspira oracji końcowej nad ciałem bohatera tym razem nie ma słów litości, współczucia, pochwał. Malcolm określa Makbeta jako „martwego rzeźnika", a jego żonę jako „szatańską". Nie ma końcowego akcentu łaski i w tym też uwidacznia się odrębność tej tragedii od innych.

Nie wydaje mi się, aby obecna inscenizacja **Makbeta** w Old Vic była zadawalająca dla bardziej wymagających widzów. Reżyser Michael Benthall dał wersję rzemieślniczo kompetentną, ale nie odznaczającą się artyzmem w wykonaniu, czyż też głębokością koncepcji. Ujął sztukę powierzchownie, starając się wyciągnąć z niej głównie elementy melodramatyczne, a prześlizgnął się obok zasadniczego problemu, który czyni z **Makbeta** tragedię. Dwa główne wrażenia, jakie odnosi się z inscenizacji Benthalla, to hałas i krew. Krzykliwość ma swoje źródło zapewne w tym, że w Edynburgu grano **Makbeta** w kościelnym hallu, gdzie głośna gra była koniecznością, ale należało to zmodyfikować na niedużej scenie Old Vic. Przy każdej sposobności w scenach zbiorowych aktorzy rozdzierają uszy publiczności okrzykami. Ryczą też indywidualni aktorzy i to nawet w scenach wymagających mówienia przyciszonego (jak rozmowa Makbeta z żoną po morderstwie Duncana). Krzyk utrudnia odbiór sztuki przez publiczność, jak też niszczy poezję, zacierając wszelką subtelność gry. Typowym przykładem była wykrzyczana końcowa mowa Malcolma, która powinna była być wypowiedziana ze spokojem i godnością. Podobnie i krwi płynie w tej inscenizacji zbyt wiele. Nie trzeba zapominać, że nadużycie czerwonej farby w teatrze daje niezamierzone efekty komiczne i zwiększa nierealność danej sceny, zamiast ją uwydatniać. Raziła także konwencjonalność, z jaką potraktowano niektóre sceny, np. z czarownicami. Nie sposób dziś przedstawić ich przekonywująco, realistycznie, istnieją zaś duże możliwości symbolicznego ujęcia (światłocień itd.), jeśli uzna się je za wytwór chorobliwego umysłu Makbeta. Czarownice, które zaprezentował nam Benthall były banalne, a już ogromny kocioł (w scenie 1 aktu IV), z którego wyłaniają się gotujące się zjawy i prorokują Makbetowi, wywoływał zrozumiały śmiech wśród publiczności. Na dobro reżyserii należy zapisać należyte tempo i rytm przedstawienia oraz udane operowanie tłumami (oba te tak ważne w reżyserii czynniki należą do mocnych stron Benthalla).

W roku bieżącym zdecydowano się zarzucić wreszcie niezgrabny stały element dekoracyjny w postaci wielkiego renesansowego łuku. Dekoracje, podobnie jak i kostiumy do **Makbeta**, zaprojektowała Audrey Cruddas. Główną stałą dekorację w postaci bloków kamiennych zamczyska należy uważać za udaną, także elementy zmienne, jak np. trony. Ale niektóre ze zmieniających się szczegółów tła były stanowczo pomyłką (np. przypominające kupę gigantycznych raków tło sceny bankietu). Światło z reguły było przyćmione i harmonizowało z dekoracjami, trzeba jednak stwierdzić, że reflektory nie były zgrane i dawały aktorom po kilka cieni, co było przykre dla oka (np. pojedynek dwóch ludzi powodował kotłowaninę trzech par cieni). Kostiumy podkreślały szkocki koloryt sztuki, ale nie wszystkie były udane (np. krowia skóra jako ceremonialne okrycie dla króla). Muzyka (kompozycji Briana Easdale) miała także uwypuklić szkockość. Częściowo grana jest na kobzach, a ten instrument jest zanadto narzucający się i nie powinno się stosować go tam, gdzie muzyka ma być tylko tłem.

Rola Makbeta jest trudna do grania w sposób naprawdę przekonywujący i ciekawy. (Jest rzeczą charakterystyczną, że żaden wielki aktor, z wyjątkiem Macready'ego, nie opierał na niej swej renomy w taki sposób w jaki np. Giełgud czy Olivier opierają swoją na kreacjach Hamleta). Aktor musi wgłębić się w intencje Szekspira i pozyskać sympatię dramatyczną wbrew faktom wątku. Paul Rogers zdołał to uczynić, mimo spłycającej problematykę koncepcji reżysera. Jego Makbet jest potężną i wierną kreacją. Żałować trzeba, że w myśl ogólnej linii reżyserskiej musiał on krzyczeć szekspirowski wiersz i zacierać poezję swej roli. Mimo to jednak uniknął akcentów melodramatu (o co tak łatwo było w tej inscenizacji) i przekazał publiczności głębsze pokłady roli Makbeta, stwarzając kreację tragiczną. Nie można tego niestety powiedzieć o Ann Todd w roli Lady Makbet. Jest to miła aktorka i wyglądała „przepisowo" w rudej peruce, ale niestety rola ta — bodaj najtrudniejsza z szekspirowskich ról kobiecych — leży poza granicami jej możliwości aktorskich. Nadaremno starała się nadać swemu naturalnie miękkiemu głosowi twardość i ogień. Może w scenie bankietu stosunkowo najlepiej sobie dała radę. John Neville godnie sekundował Rogersowi jako silny, opanowany Macduff (trafnie obsadzona rola). Eric Porter zabłysnął w paru miejscach, jako Banquo, zaś Laurence Hardy świetnie zarysował sylwetkę furtiana, krótkiej a tak ważnej roli. Robert Hardy jako Duncan był bez wyrazu i grał w sposób dość sztuczny. Paul Daneman dał dość nierówną interpretację roli Malcolma, ale bardzo dobrze odegrał swą najważniejszą scenę z Macduffem (IV, 3). Inni aktorzy nie wybijali się specjalnie.

W sumie stwierdzić trzeba, że **Makbet** w Old Vic, jakkolwiek nie oddaje należycie wszystkich aspektów szekspirowskiego dzieła i nie zadowoli ekspertów, jest dość poprawnym, choć powierzchownym, popularnym ujęciem sztuki, a przez swą sugestywność ma szanse powodzenia wśród szerokich mas publiczności.

Bolesław Taborski

*) Zeszły sezon Old Vic został omówiony w **ŻYCIU** nry: 8/348, 11/351, 15/355 i 21/361.



Rys. Jerzy Faczyński

TEATR OD CZASU DO CZASU

(Na marginesie premiery sztuki Walentyny Aleksandrowicz p.t.: „Zazdrość i medycyna" według powieści o tej samej nazwie Michała Choromańskiego. Sztuka wystawiona przez Teatr Polski w „Ognisku Polskim" dnia 8 października b.r., w reżyserii L. Kielanowskiego, z dekoracjami A. Bogdanowicza, z udziałem H. Kitajewicz, Z. Mroczkowskiej, A. Butschera, M. Malicza, Z. Rewkowskiego, B. Dolińskiego, S. Kostrzewskiego, R. Ratschki, W. Sikorskiego i R. Sikorskiego.)

Plackiem padam i czołem biję przed Maliczem, Kitajewicz, Kielanowskim. Na złość wszystkim wygom teatralnym kolejności nazwisk też nie zmienię. Pominę milczeniem poprawność Rewkowskiego i szczerość Butschera przemilczę. Osobną świeczkę zapalę Bogdanowiczowi.

Oddawszy co cesarskie cesarzowi, wytłumaczę, o co mi się rozchodzi. Maliczowi kłaniam się za odwagę. Z rewii do dramatu maraton niebezpieczny. A Malicz dobiegł pierwszy. Czołem!

Pani Kitajewicz ukłon za wdzięk i za wstrzemięźliwość aktorską, lub jak kto woli, brak szarży tak niebezpiecznej i tak łechcącej w tej roli.

Kielanowskiemu kłaniam się za ambicję. W pas. W naszym smrodku teatralnym wystawienie sztuki wieloosobowej, nieliczenie się z kosztami i nieliczenie na ich zwrot, to odwaga równa odwadze Malicza. Tylko, że Kielanowski nie dobiegł do mety. Ale o tym potem. Kłaniam się Kielanowskiemu również za konsekwentną myśl reżyserską. Świadomość tego, czego się chce i dążność do przekształcenia tej świadomości w rzeczywistość są godne pochwały. Chwalę.

Bogdanowicz, to osobna pozycja. Scenkę Ogniska przekształcił w odeonową cineramę, bryznął kolorem, uwypuklił obrazy niearchitektoniką i podpalił je dyskretnie światłem. Wysiłek godzien szacunku. Szanuję.

Treść sztuki biegnie równolegle z treścią powieści. Treść pseudo-psychologiczna i sztucznie pikantna (autorsko i reżysersko), chociaż w całości stwarzająca bez wątpienia pozory realizmu, pomimo niewiarogodnej sytuacji, w której chirurg zakochuje się w pacjentce podczas operacji wyrostka robaczkowego. Miłość od pierwszego spojrzenia. Nie w twarz, a gdzie indziej. Ale to może tylko kwestia temperamentu.

Szkoda, że nikt nie może bić oklasków publiczności. Biję. Biję jej za to, że biła dzielnie po każdej odsłonie. (Siedemnaście razy).

Konstrukcja sztuki jest wybitnie radiowa i mimo woli nasuwa się myśl, jaka by to była udana sztuka radiowa, w której nie kończące się przerwy i odsłony mogłyby być zastąpione krótkim akordem muzycznym, lub choćby tym wiatrem, który zamiast łączyć sztukę w całość, siekał ją jak kotlet bezlitośnie i z premedytacją.

„Zazdrość i medycyna" byłaby również udanym filmem. W Cineramie. W wielkim Odeonie. W reżyserii wielkiego Mankiewicza. Tylko, że po trzygodzinnym przedstawieniu mimo woli a uparcie powraca świadomość, że „Zazdrość i medycyna", to nie film. Ognisko nie Odeon, a Kielanowski nie Mankiewicz.

Ale sztukę zobaczyć warto.

Zygmunt M. Jabłoński

O JANIE PASKU PO ANGIELSKU

Czerwcowy numer **„Slavonic Review"** przyniósł dwa artykuły piór polskich. W pierwszym z nich J. Pietrkiewicz przedstawia czytelnikowi anglosaskiemu Jana Chryzostoma Paska. Pamiętnikarz polski, zdaniem autora, winien być przyrównywany nie tyle do Samuela Pepysa czy Evelyna, ile do Boswella. Starannie dobrane wyjątki z „Pamiętników" ukazują człowieka tętniącego życiem, który fascynować musi nawet cudzoziemców. Kto wie, czy essay Pietrkiewicza zatytułowany „A Polish 17th Century Diarist", nie zachęci kogoś do przełożenia „Pamiętników" na język angielski.

Druga praca nosi tytuł „Polish Economy under Soviet Control". Jej autor K. M. Smogorzewski dokonuje przeglądu gospodarki polskiej od pierwszej wojny światowej do dnia dzisiejszego.

Czytelnik zainteresowany dziejami reformacji w Polsce znajdzie w „Oxford Slavonic Papers" za ostatni kwartał ub. roku ciekawy artykuł S. Kota: „Opposition to the Pope by the Polish Bishops, 1557-60: Three Unique Polish Reformation Pamphlets". Chodzi mianowicie o;

1) Narzekanie Biskupa Jana Drojowskiego (1557?),

2) Explicatio Juramenti Papae (1558),

3) Stateczność Stanisława Orzechowskiego (1561?).

Przytoczony jest pełny tekst wymienionych pamfletów, przedrukowany z egzemplarzy znajdujących się w posiadaniu Bodleian Library w Oxford.

OKSFORDZKA HISTORIA MUZYKI. W tych dniach ukazał się spod prasy drugi numer nowej, pomyślanej na dużą skalę, historii muzyki: „New Oxford History of Music". Tom ten stanowi zapoczątkowanie wydawnictwa, gdyż tom I ukaże się nieco później. Obejmuje muzykę wczesnego średniowiecza po rok 1300. Wydawcą jest Oxford University Press, cena 45 szylingów.

Na tom składają się rozdziały, pisane przez historyków muzyki różnych narodowości. O wczesnej muzyce chrześcijańskiej pisze dr Wellesz.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 24 października 1954

Listy

„ODI PROFANUM VULGUS"

Szanowny Panie Redaktorze!

Świetne, ale i porywcze pióro p. J. B. poniosło go niestety i napisał on coś, czego zapewne nie chciał powiedzieć. Jego bowiem pean na cześć zawodowych polityków, a pogarda dla wszelkiego rodzaju „ordynansów", „czerwi" i „żuków gnojników" prowadzi prostą drogą do platońskiej politei, gdzie o losach społeczeństwa jako całości i każdego z jej członków z osobna decyduje garstka „zawodowych polityków" („strażników"). A stąd krok tylko do apoteozy wszelkiej dyktatury czy też totalizmu.

Oczywiście, w pełni zgadzam się z p. J. B., że polityka, to nie tylko przekonania, ale i sztuka. I niewątpliwie np. fakt, że ktoś był przedtem w swym życiu carskim sędzią śledczym i polskim prokuratorem wojskowym, na pewno nie jest (jak o tym niedawno mieliśmy okazję się przekonać) żadną kwalifikacją na ministra sprawiedliwości.

Rację ma również p. J. B., gdy pisze, że rzeczą społeczeństwa jest obdarzać zaufaniem zawodowych polityków (lub im tego zaufania odmawiać — co on zapomniał dodać) i ich kontrolować. Ale jak? W normalnie zorganizowanych społeczeństwach do tego celu służą wybory. Ale i tu, w okresie międzywyborczym, wiece i listy do pism są bardzo cennym (i przez zawodowych polityków cenionym) termometrem nastrojów społeczeństwa. A cóż dopiero tam, gdzie nie ma wyborów! Niesłusznie je więc p. J. B. wyszydza. Co więcej, jeśli polscy politycy emigracyjni nie mają zawisnąć w powietrzu, lecz mieć oparcie w zbiorowej woli polskiej masy emigracyjnej, to wybory na emigracji — mimo całej technicznej ich trudności — są koniecznością. A zanim pokonane zostaną ich trudności organizacyjne, znacznie łatwiejszy do przeprowadzenia plebiscyt (oczywiście plebiscyt poważny i niefałszowany) może być doskonałym ich surogatem. W obecnej chwili jest to bowiem jedyna droga, aby umożliwić wypowiedź „milczącego społeczeństwa emigracyjnego".

Nie godziłbym się również z pogardliwym traktowaniem polskich wychodźców jako „politycznych amatorów" i „niedołęgów", a więc na tym samym nieomal poziomie, jak Hemar w niefortunnej swej fraszce potraktował „wygnańców". Przeciętny bowiem polski wychodźca ma — w porównaniu do jego np. angielskiego odpowiednika — znacznie większe wyrobienie polityczne (nie o wszystkich, niestety, politykach polskich, czy też w leńskich publicystach, można to powiedzieć). Nie znaczy to bynajmniej, aby przeciętny Polak był koniecznie mądrzejszy od przeciętnego Anglika, ale jest prostym następstwem faktu, że polski wychodźca jadł chleb z niejednego pieca, a cięgi, jakie odebrał, nauczyły go jakie są skutki takich czy innych pociągnięć politycznych w jego własnym losie i losie jego najbliższych w Kraju.

Zamiast więc pogardliwego „odi profanum vulgus et arceo", należałoby raczej rozwijać tę cenną cechę polskiej emigracji tymi środkami, jakie są do dyspozycji. A wiece, listy do redakcyj, plebiscyt jako surogat wyborów, w dalszej zaś przyszłości wybory, są ku temu najlepszym środkiem. Szczególnie teraz, gdy — jak słusznie podkreślił gen. Sosnkowski w swym manczesterskim liście — jedynie „zorganizowana i świadoma opinia publiczna" może wyprowadzić życie polityczne emigracji z obecnego gorszącego kryzysu, spowodowanego przez garść ludzi o przesadnej ambicji i zupełnym braku odpowiedzialności, wbrew jednolitej woli całej polskiej masy emigracyjnej. Jeżeli więc, jak słusznie pisze p. J. B., „ropa ma odpłynąć", a szkodnicy i wrogowie jedności narodowej wyrzuceni za burtę polskiej nawy wychodźczej, to nie należy z przekąsem mówić o rozmaitych sposobach wypowiedzi polskiej społeczności emigracyjnej, ale raczej szukać środków, aby wypowiedź ta była możliwie najpoważniejsza, najpowszechniejsza i najbardziej niezaprzeczalna.

Dr Tadeusz Felsztyn

ZAPISKI LONDYŃSKIE

PANUFNIK, JANIEWICZ I MAŁCUŻYŃSKI

Koncert, który odbył się w dniu 11 października w wypełnionym niemal całkowicie publicznością polską i angielską Albert Hallu, był nie tylko koncertem Andrzeja Panufnika i Witolda Małcużyńskiego. Przez swe kompozycje brał w nim udział jeszcze jeden Polak, związany blisko z Anglią i Szkocją: zmarły ponad sto lat temu skrzypek i kompozytor niepośledniej miary, Feliks Janiewicz (1762-1848).

Janiewicz pochodził z Wilna i w szesnastym roku życia wysłany został za granicę przez króla Stanisława Augusta dla kształcenia się w dziedzinie muzyki. Za stypendium królewskim wędruje po różnych miastach Europy; w Wiedniu poznaje Mozarta i Haydna i przez pewien czas jest uczniem Haydna. Przebywa potem we Włoszech i w Niemczech, gdzie wyszło kilka jego utworów skrzypcowych. Pojawia się później we Francji i zdobywa sobie tam pozycję zdolnego kompozytora i wykonawcy. Utwory jego ogłasza drukiem słynna wówczas firma paryska Imbaulta.

Gdy we Francji wybucha rewolucja, Janiewicz opuszcza Paryż i osiedla się w Wielkiej Brytanii, gdzie danym było mu spędzić więcej niż połowę życia. Swą karierę muzyczną w Londynie rozpoczął w r. 1792 koncertem w domu Corri'ego. Występuje później wielokrotnie jako skrzypek lub dyrygent nie tylko w Londynie, ale także w innych miastach angielskich. Zarazem staje się organizatorem życia muzycznego w Wielkiej Brytanii. Jest jednym z założycieli Londyńskiego Towarzystwa Filharmonicznego (London Philharmonic Society); dyryguje orkiestrą tego towarzystwa w pierwszym sezonie muzycznym w r. 1813. W parę lat potem osiada wraz ze swą żoną Angielką w Edynburgu i tam również uzyskuje czołowe stanowisko w świecie muzycznym. Umiera w r. 1848, dożywszy sędziwego wieku 86 lat.

O życiu i twórczości Janiewicza ŻYCIE ogłosiło obszerny artykuł pt. „Zapomniany muzyk" w r. 1950 (nr 44). Choć obszerna notatka o nim znalazła się w „Dictionary of National Biography", Janiewicz istotnie jakby zapomniany został w brytyjskich kołach muzycznych, głucho o nim jest w programach BBC. Cieszyć się więc szczególnie wypada, że w programie koncertu w Albert Hallu znalazła się adaptacja utworu Janiewicza „Six Trios pour deux violons et basses" (wydanego przez Imbaulta w Paryżu ponad półtora wieku temu) na orkiestrę smyczkową, dokonana przez Panufnika i zatytułowana „Divertimento". Może to wyrwie wreszcie twórczość Janiewicza z zapomnienia na tutejszym gruncie.

Program, który obejmował m. in. koncert fortepianowy Chopina op. 21 (przy fortepianie był Małcużyński), Niedokończoną Symfonię Schuberta i Uwerturę Tragiczną Panufnika — utwór dużej siły i oryginalności — wywołał entuzjastyczne reakcje słuchaczy. Małcużyńskiego i Panufnika wywoływano wielokrotnie.

ZMIANY W CHATHAM HOUSE

Nowym prezesem Royal Institute of International Affairs — instytucji znanej jako „Chatham House" — został Air Chief Marshal Sir William Elliot. Ważniejszą będzie jeszcze zmiana na stanowisku „dyrektora studiów" Chatham House; zajmujący obecnie to stanowisko znany historyk Arnold Toynbee ustępuje w przyszłym roku i nie wiadomo jeszcze, kto będzie jego następcą.

„SPECTATOR" JAKO ORGAN INTELEKTUALNY KONSERWATYSTÓW

Tygodnik „The Spectator", który parę lat temu wydawał się być w stanie upadku, znalazł się w „lepszej formie" z chwilą objęcia redakcji przez Waltera Taplina. Jak informuje „Observer", do redakcji „Spectatora" przystępuje z dniem 1 listopada na okres 6 miesięcy p. T. E. Utley, jeden z głównych publicystów „Timesa". Ma on w redakcji „Spectatora" spełniać rolę doradcy politycznego. Utley uważany jest za jednego z najzdolniejszych młodych intelektualistów partii konserwatywnej. „Observer" wnioskuje z tego wszystkiego, że „Spectator" dążyć będzie do tego, by zająć na prawicy takie stanowisko, jakie „New Statesman and Nation" zajmuje na lewicy.

Utley jest niewidomy od dzieciństwa; książki i czasopisma czytane są mu przez sekretarkę w rekordowym tempie. Dyktuje on swe artykuły niezwykle szybko.

WYSTAWA CÉZANNE'A

Wystawa malarstwa Cézanne'a, zorganizowana przez Arts Council of Great Britain, przy współudziale Edinburgh Festival Society, ma miejsce w Tate Gallery od 29 września do 27 października b.r.

Wystawa obejmuje 65 obrazów olejnych z różnych krajów obu półkul i to zarówno ze zbiorów państwowych jak i prywatnych. Wiele eksponatów, słynnych i znanych tylko z barwnych reprodukcji, olśniewa i zaskakuje blaskiem kolorytu, piękną techniką i bezpretensjonalną kompozycją, jak też bardzo przekonywującą wizją natury.

Wstęp na wystawę 1 sh. Otwarta we wtorki i czwartki 10 rano — 8 wieczorem.

W salach Tate Gallery, mieszczących stale zbiory sztuki współczesnej, dokonano przegrupowań obrazów, co okazało się korzystne. Obrazy oglądane w nowym sąsiedztwie działają na widza zupełnie inaczej.

Wystawiono tam m.in. parę obrazów zmarłego niedawno we Francji Déraina. Dérain należał do czołowych malarzy francuskich naszych czasów. Był on jednym z członków głośnej ongiś grupy malarzy „Les Fauves". Umarł w szpitalu na skutek obrażeń, jakie odniósł w wypadku samochodowym.

NOTATKI

W ORGANIE Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, który coraz bardziej szczątkowieje, chociaż coraz więcej kosztuje, pojawiła się riposta na naszą notatkę o rzuceniu grubych setek funtów w błoto z okazji święta żołnierza w roku ubiegłym.

Notatka kończyła się zdaniem następującym: „Ale sursum corda, póki jeszcze mamy sumy włoskie. Sursum sumy, niech lecą z wiatrem!" Organik kombatancki nie przeczy oczywistym faktom marnotrawstwa pieniędzy, ale z patosem w imieniu swych władz rozdziera szaty. Nieprawda! — wykrzykuje — ani grosz z sum włoskich nie poszedł na święto żołnierza!

Wyłóżmy więc kawę na ławę. Po pierwsze, w „Notatkach" nikt nie posądzał Kombatantów o urządzenie akademii za sumy włoskie. Tego by jeszcze brakowało! Stwierdzono natomiast, że póki w banku leżą pozostałości sum włoskich, radosna rozrzutność hula. Gdyby sum nie było, pewnie by Zarząd z radością zainkasował setki funtów za bilety wstępu, ale skoro pieniądze są, niechże sobie i Hemar zarobi, i Kielanowski, i co mniej zamożni aktorzy.

Po wtóre: czy naprawdę z sum włoskich Koledzy Kombatanci nie wydali ani grosza na akademię 15 sierpnia ub. r.? Ejże! A organizator obchodu, czy nie dostał za swoje trudy pięknej sumki, wypłaconej prosto z kasy SPK, a nie ze sprzedaży biletów?

Jeśli Zarząd Główny SPK życzy sobie z nami dalszej wymiany zdań na temat gospodarki władz kombatanckich, a także na temat sennej ich działalności w każdej niemal dziedzinie, chętnie będziemy służyć. Byle bez wykręcania się sianem.

J. B.

STULECIE PANNY MARII

(Dokończenie ze str. 1)

sióstr jest dostateczną gwarancją dobrego wychowania dziatwy w duchu katolickim i polskim.

W tym samym budynku mieści się muzeum uratowanych dawnych sprzętów do uprawy roli, narzędzia kowalskie i rzeczy przywiezione jeszcze z Kraju przed stu laty. Są kufry, magielnice, noże, obrazy religijne, jest bardzo stara biblia wydana gdzieś w Niemczech i cały szereg drobiazgów, które już mi wywietrzały z pamięci.

Gdy opuszczałem Pannę Maryję po 8 godzinie wieczorem, trudno było się wydostać z olbrzymiego natłoku, setki samochodów odjeżdżało, a bodaj więcej dążyło w tym kierunku, na placach parkowych stało znów co najmniej kilkanaście setek samochodów. Ludzie bawili się podobno do samego prawie rana. Nie wiadomo do kogo mieć żal za zmarnowaną okazję wydania znaczka specjalnego dla uczczenia tej uroczystości przez pocztę amerykańską. Czyniono różne zabiegi na półmocy, w stanie Texas, przez senatorów i kongresmanów federalnych i stanowych. Niestety, nic z tego nie wyszło, a szkoda wielka, że to nie przeszło do historii w tak popularny sposób. Oglądając np. magazyn „Life" z dnia 3 maja br., poświęcony głównie znaczkom pocztowym i to tym najciekawszym, widzi się tam jedynie znaczek polskiej poczty z podobiznami Waszyngtona, Kościuszki i Pułaskiego. Przypuszczać by można, iż komuś zależało na tym, aby ten znaczek się nie ukazał. Zresztą tak samo utrącono wniosek ze strony katolików Stanów Zjednoczonych o znaczek maryjny na upamiętnienie Roku Maryjnego.

Wioskę Panna Maryja nazwano tym imieniem po wybudowaniu kościoła pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia, na cześć ogłoszenia dogmatu przez Piusa IX w 1854 r. Kościół wybudowano w kilka lat po przyjeździe i osiedleniu się gromady Polaków na piaskach Texasu. O. Moczygemba, franciszkanin, był właśnie przedstawicielem zakonu, który położył wiele zasług w ogłoszeniu tego dogmatu, począwszy od najwybitniejszego obrońcy Niepokalanego Poczęcia z średnich wieków, Duns Scot'a.

O. Moczygemba kształcił się w Krakowie, w cieniu mariackiej świątyni, i w stolicy chrześcijaństwa, w Rzymie, a skoro ogłoszenie dogmatu o Niepokalanym Poczęciu stało się faktem dokonanym i zastało go na ziemi amerykańskiej, po tylu utrapieniach z założeniem osady i z wybudowaniem kościoła, oddał swoje dzieło pod opiekę i na chwałę Niepokalanie Poczętej. Dał nam tym wskazówkę, gdzie mamy szukać szczęścia własnego i siły przetrwania dla narodu nawet w najcięższych chwilach.

Ks. Franciszek Gabryl

STANISŁAW STROŃSKI

Wszystko dobre, co można było powiedzieć o półwiekowej działalności Stanisława Strońskiego, ogłosiło już sześciu autorów w zbiorowym tomiku, wydanym przez Oficynę Poetów i Malarzy.*) Dla równowagi trzeba powiedzieć to i owo złe.

Najpierw jednak wypada rzucić okiem na treść sześciu wypowiedzi. Tomik jest odtworzeniem w druku uroczystości jubileuszowej, która odbyła się w Instytucie Historycznym im. Generała Sikorskiego w Londynie dnia 15 grudnia 1952 roku. Powstała z tego przyjemna książeczka, złożona czcionką Półtawskiego, starannie tłoczona w dwu kolorach, o arkuszach, niestety, niezszywanych, co w zastosowaniu do tekstów poetyckich jest słuszne, lecz w prozie razi. Tomik zdobi portret St. Strońskiego ołówka Leli Pawlikowskiej i karykatura Antoniego Wasilewskiego.

Antoni Bogusławski wygłosił i ogłosił słowo wstępne — o rodowodzie ideowym Strońskiego z tajnego „Zetu". Trafił niewątpliwie w sedno sprawy, gdyż w najogólniejszym zarysie przywódcy życia polskiego w okresie dwudziestolecia i jeszcze ciągle sterujący sprawami polskimi na emigracji dzielili się na tych, co wyszli z „Zetu" i na takich, którzy wyszli z „Promienia".

Prof. Władysław Folkierski, uczeń prof. Strońskiego, obronił wysuniętą przez siebie tezę, „że prace naukowe Stanisława Strońskiego, prace młode, wypełniające pierwszy i początkowy okres jego działalności pisarskiej, były takiego kalibru i takiej wagi, że wszystko, co potem nastało w innych okresach nienaukowych, nie dorównało im w znaczeniu i długotrwałej wartości." Były to rozprawy naukowe z zakresu literatury staroprowansalskiej, w której badaniu Stroński był słupem milowym i jest po dziś dzień wyrocznią. Romaniści obcy są nadal przekonani, że prof. Stroński aż potąd niczym innym się nie zajmuje, jak tylko poezją trubadurów. Książki Strońskiego z tego zakresu były pełne nowości ściśle naukowych i poddawały zasadniczej rewizji dotychczasową metodę badań.

Tymon Terlecki omówił „Strońskiego — pisarza". Powołując się na wzory obce wystąpił z twierdzeniem, że publicystyka nie jest gorszym od beletrystyki rodzajem literackim, a „publicystyka St. Strońskiego jest bez żadnej wątpliwości pisarstwem". Wywiódł następnie rodzimy rodowód stylu Strońskiego: od Edwarda Porębowicza, Kazimierza Twardowskiego, Wojciecha Dzieduszyckiego, młodopolskiej grupy lwowskiej (Staff) i pisarzy narodowo-demokratycznych, nazywając język Strońskiego „polszczyzną kanoniczną". Podniósł dalej Terlecki uparty i szlachetny puryzm Strońskiego oraz główne cechy jego pisarstwa: ścisłość i intelektualizm.

Bolesław Wierzbiański zajął się historią Strońskiego jako dziennikarza. Zbigniew Stypułkowski naszkicował jego sylwetkę jako mówcy parlamentarnego i krasomówcy. „Słuchaczy Strońskiego — pisze Stypułkowski — uderza widoczna praca mózgu mówcy przy formułowaniu myśli i nadawaniu im właściwego wyrazu... Jego przemówienia nie płyną gładko; słowo zawisa mu na ustach, zanim jest wypowiedziane, ale na to słowo się czeka."

Gen. Marian Kukiel dodał do jubileuszu kilka słów o „Strońskim jako historyku przeszłości i współczesności", w których jest też podniesiona bodaj najwybitniejsza zasługa Strońskiego, „który w nowszych sporach inter maiestatem et libertatem magna pars fuit".

W tomiku umieszczono poza tym skromną, ale świetnie przygotowaną notę bio-bibliograficzną i „słowo końcowe" jubilata, gdzie się m. in. znajduje takie mądre zdanie: „Wyniosłem z tych lat nauki, a i z późniejszych, przekonanie, że człowieka wiedzie przez życie wielka Pani, której na imię Praca."

Książeczkę Oficyny Poetów i Malarzy o Strońskim, przygotowaną do druku przez grono jego przyjaciół, należy pochwalić przede wszystkim za zwięzłość. W podobnych okolicznościach, gdyby nasze położenie było inne, wydanoby w Polsce ku czci Strońskiego księgę prac naukowych i publicystycznych, o z górą tysiącu stron, z całą pewnością nudną, zakalcowatą, zagmatwaną, nadzianą odsyłaczami, która by, nierozcięta, zdobiła półki bibliotek. Nikt by jej oczywiście nie czytał, służyłaby conajwyżej biednym studentom filologii romańskiej i historykom parlamentaryzmu polskiego. Tymczasem na emigracji wyszła rzecz czytelna, zgrabna, dorzeczna, którą każdy człowiek kulturalny z przyjemnością przeczyta i więcej się dowie o półwiekowej działalności Stanisława Strońskiego niż z opasłej monografii czy księgi zbiorowej. Zwięzłość tomiku jubileuszowego podyktowały, oczywiście, warunki materialne, ale podziałał tu też niewątpliwie wzór prof. Strońskiego, który mówi długo tylko wówczas, gdy ma mało do powiedzenia, ale mówi z precyzją i zwięzłością gromu, kiedy ma do powiedzenia rzeczy ważkie. Zwięzłość, to cnota, jakiej może najbardziej brak polskiemu, zwłaszcza współczesnemu, piśmiennictwu.

Drugi przymiot Profesora, to znajomość własnego języka. Wprost niewiarogodne, jak źle po polsku piszą pisarze, a zwłaszcza dziennikarze polscy. Maszynopisy przychodzące do redakcji czasopism są największym utrapieniem redaktorów; trzeba je zwykle przekładać na język polski. Takie, których nie trzeba poprawiać ni zmieniać przychodzą raz na rok i sześć niedziel. Za rodzaj artystycznej maniery uchodzi pisać bodaj jak, stawiać przecinki wszędzie tam, gdzie nie ma na nie miejsca, wymyślać własne znaki graficzne, gromadzić całe gwiazdobiory kropek, gubić podmioty, odmieniać rodzaje w orzeczeniach, pisać na przekór wszystkim ortografiom od ks. Onufrego Kopczyńskiego poczynając i przy tym pieklić się o każde określenie czy przeróbkę. Prof. Stroński również nie lubi wtrącania się do jego tekstów, ale za to jego maszynopisy są nieskazitelne jak kryształ. Ma i on swoje słabostki graficzne, a zwłaszcza swój dziwaczny słownik wyrazów przełożonych z obcych. Ale to nie są czcze wymysły, lecz styl, wielki styl półwiekowej twórczości pisarskiej. Stanisław Stroński jest jednym z wybitnych stylistów w publicystyce polskiej.

Tymon Terlecki podnosi „wszechpolskość" i „kanoniczność" języka Strońskiego. Nie jest to jednak walor pisarski. Bo w rzeczywistości Stroński jest tylko pisarzem politycznym, a nie beletrystą i, mimo analogii wytoczonych przez Terleckiego, nie ma znaku równości między tymi dwiema umiejętnościami czy sztukami. Mauriac jest także publicystą, tak jak był nim Bernanos, ale po kilku latach nikomu do głowy nie przyjdzie sięgać po pisma polityczne tych pisarzy, dla przyjemności czytania, choć powieści Mauriaca i Bernanosa, jeśli nasze miary będą też obowiązywać w przyszłości, przetrwają wiele pokoleń.

Otóż i Stanisław Stroński ma, jak wolno mniemać, trwałe miejsce w dziejach kultury polskiej, ale nie dla setek artykułów w czasopismach politycznych, lecz dla jego prac naukowych i jego roli politycznej. Zaś „kanoniczność", to największy wróg literatury pięknej, gdyż w tej sztuce liczy się tylko własny, swoisty, oryginalny styl. Kanonicznym językiem układa się tylko prawa i ustawy.

Wytykając słabości prof. Strońskiego, nie sposób pominąć zwłaszcza jednej. Jak to zwykle bywa z filologami, prof. Stroński jest nadzwyczajnie wrażliwy na piękno poezji XII i XIII wieku, natomiast ma bardzo słabe wyczucie poezji i beletrystyki współczesnej. Nie jest to zarzut błahy, gdyż prof. Stroński od wielu lat przewodniczy Związkowi Pisarzy Polskich na Obczyźnie i jego to brak zrozumienia dla piśmiennictwa współczesnego doprowadził do tego, że dziś Związek Pisarzy grupuje roje przedziwnych osobistości, wśród których trafiają się także pisarze. Przewodniczenia prof. Strońskiego na wszystkich zebraniach literackich oraz w jury konkursów i nagród, jego hojne i wylewne laurki i cenzurki zachwaściły tak niesamowicie pisarstwo emigracyjne, że zboża wśród tego zielska prawie nie widać.

Prof. Stroński drwi zapewne w duszy z tego niby-pisarskiego legionu, ale na zewnątrz podbija bębenka coraz to nowym ochotnikom pod literackie sztandary. I w tej tolerancji, w tym drwiącym uśmieszku, w ubijaniu rzeczy poważnych żarcikami i kalamburami tkwi nie siła, jak głosili mówcy na wieczorze ku czci prof. Strońskiego, lecz jego słabość, jego błąd. Co dobre w sejmie, to szkodliwe gdzie indziej. Stroński jest petroniuszem wśród grona uczonych i polityków, ale nie jest wychowawcą ani przewodnikiem. Złym by przypuszczalnie też był dowódcą. To raczej samotny rycerz, na tęgim rumaku wiedzy, z pióropuszem kultury, ze szpadą dowcipu, kruszący kopie o swoje ideały z każdym, kto myśli inaczej i pocieszający serce pieśniami trubadurów.

J. B.

*) **Antoni Bogusławski, Władysław Folkierski, Marian Kukiel, Zbigniew Stypułkowski, Tymon Terlecki, Bolesław Wierzbiański: STANISŁAW STROŃSKI. W 50-lecie pracy pisarskiej. Oficyna Poetów i Malarzy, 1954. Stron 116.**

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja: i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego**: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach**: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 10.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty,** 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kułakowska,** 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz **Rev. W. Słapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie,** 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers,** Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6; **International Book Service,** 57, Queen Str. W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk,** Seehammerstr. 4, Bar. 16 B/2 (13B) München, 54 oraz **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński,** Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"**, 615, Henry Street, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski,** 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz **J. Stojanowska,** 424, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz **„Pomoc" — Eksport Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński,** Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA: Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska,** via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PADdington 9734